Nr 3 (27)
ROK II

TYDZIEŃ

19. I. 1947 r.
Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



CZYTELNICY GŁOSUJĄ: KOMU PRZYZNAĆ NAGRODĘ „TYGODNIA" ZA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ POLSKĄ WYDANĄ W LATACH 1945-46

Obywatele polscy stoją wobec ważnej decyzji. Postanowić muszą na jaką listę oddadzą swój głos w dniu 19-go stycznia, w wyborach, które zadecydują o obliczu pierwszego Sejmu odrodzonej Rzeczypospolitej.

Wielu jest takich, którzy zadecydowali już dawno, którzy wiedzą na kogo i dlaczego będą głosować. Niewątpliwie jednak są i tacy, którzy jeszcze wahają się, którzy nie mają wyrobionego zdania, ale których postanowienie w żadnym wypadku nie powinno być przypadkowe, każdy głos obywatela bowiem ma ten sam ciężar, każdy w równej mierze składa się na ogólną decyzję narodu.

Listą obozu, który rządzi Polską od dwóch i pół lat jest lista Bloku Demokratycznego, skupiająca cztery partie demokratyczne i wszystkie Związki Zawodowe. Jest to więc lista, będąca wyrazem zarówno wszystkich osiągnięć tego okresu, jak i programu na przyszłość przez ten Obóz reprezentowanego.

Niewątpliwie czas, który nas dzieli od wyzwolenia spod niemieckiej okupacji i od zakończenia wojny, dla olbrzymiej większości społeczeństwa był okresem bardzo ciężkim. Rzecz w tym, abyśmy pobierając swą decyzję przed głosowaniem, umieli kierować się czym innym niż naszymi kłopotami, troskami i brakami. Często o te nasze braki i niedogodności zbyt pochopnie oskarżamy Rząd, zbyt często nie wnikamy w całość sytuacji gospodarczej kraju i widzimy to tylko, co nam dokucza, nie oceniając właściwie tego wszystkiego, co zostało dokonane. Stosunek nasz do Rządu jest niejednokrotnie wołaniem o robienie cudów, podczas gdy zadaniem Rządu i jedyną możliwością, którą rozporządza, jest pożyteczne i celowe kierowanie naszą pracą.

* * *

Druga wojna światowa pozostawiła Polsce ogrom zniszczeń. Są to zniszczenia i ludzkie i materialne, zniszczenia miast i wsi, przemysłu i rolnictwa, handlu i komunikacji. Są to dziedziny, w których wołanie o cud jest daremne. Tylko olbrzymi i długotrwały wysiłek może te zniszczenia zagoić, a więc w rezultacie podnieść nasz dobrobyt i naszą stopę życiową. Zagadnienie leży w tym, ażebyśmy słusznie i sprawiedliwie, bez zaślepienia i bez zacietrzewienia ocenić umieli to, co zostało dokonane. Wystarczy porównać życie nasze przed dwoma laty i dzisiaj, ażeby wyciągnąć właściwe wnioski.

Pewno, że w zburzonej Warszawie i dziś jeszcze nie mieszkamy tak, jak mieszkać powinni ludzie cywilizowani w połowie XX-go wieku. Ale jednak gdy zsumujemy liczby odbudowanych domów, naprawionej sieci elektrycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej, kilometry uprzątniętych i uporządkowanych ulic, to przekonamy się, iż dokonaliśmy wielkiej pracy, równej zbudowaniu nowego stutysięcznego miasta. Jeśli w naszych mieszkaniach nie jest jeszcze wystarczające ciepło, to pamiętać musimy, że dzięki bohaterskiej pracy górników osiągnęliśmy produkcję węgla o wiele przewyższającą produkcję przedwojenną. A ten węgiel dla kraju naszego, który niewiele może wywozić dziś żywności lub produktów przemysłowych, stanowi cenną pozycję na rynku międzynarodowym. Dzięki niemu sprowadzamy maszyny i surowce, dzięki niemu dymią kominy Łodzi, gdyż za węgiel kupujemy bawełnę do naszych wielkich fabryk włókienniczych.

Zwolna ale ustawicznie, z dnia na dzień podnosimy się gospodarczo, co stanowi gwarancję lepszej przyszłości.

Są tacy, którzy sądzą, iż to tempo odbudowy jest zbyt wolne, że gdybyśmy prowadzili inną politykę, moglibyśmy liczyć na wydatniejszą pomoc zagranicy. Jest to rozumowanie błędne, gdyż

Zbigniew Mitzner

W OSTATNIEJ CHWILI

zniszczenia wojenne dotknęły całą Europę, a braki żywnościowe dają się odczuwać na całym świecie. Bogata Wielka Brytania, państwo w którym słońce nigdy nie zachodzi, zmuszona była ostatnio wprowadzić racjonowanie chleba, gdyż i tam nie ma mowy o cudach w zakresie gospodarki.

Może z pomocą mogłaby nam przyjść Ameryka, ale Ameryka właśnie spowodowała likwidację UNRRA, dążąc do uzyskiwania wpływu politycznego i gospodarczego na kraje słabsze. Nacjonalizacja przemysłu dokonana w Polsce jak i w wielu innych krajach Europy miała na celu wyzwolenie Polski spod panowania obcego kapitału. Inwestycje tego kapitału bowiem mają zawsze na celu nie filantropię, ale ciągnięcie wielkich zysków.

* * *

Umiemy łatwo zapominać i lubimy idealizować przeszłość. Wielu ludziom wydaje się dzisiaj, iż Polska przedwrześniowa była rajem, krainą mlekiem i miodem dla wszystkich płynącą.

Ale jeśli tę przedwojenną przeszłość przypomnimy sobie dokładnie, to przypomnimy sobie także że głód, chłód, bezrobocie i nędza nie były rzadkimi zjawiskami w Polsce tamtych dni. Przypomnimy sobie, iż wówczas to badania stwierdziły, że w powiecie rzeszowskim po wsiach matki swe dzieci umieszczały w zimie w workach z trocinami, aby nie zamarzły.

Przy ocenie obecnej rzeczywistości ważny jest nie ciężki stan obecny, ale kierunek rozwojowy, nadany państwu polskiemu i jego gospodarce. Podstawową zasadą, która obowiązuje, która jest realizowana nie jest zysk nielicznych jednostek, posiadaczy wielkich obszarów ziemskich i warsztatów produkcji, ale dobrobyt człowieka pracującego, to jest całego narodu. Pewno, że dobrobyt ten nie został jeszcze zrealizowany, ale kierunek nadany jest właściwy i słuszny i tylko on gwarantuje, że osiągniemy właściwy poziom życiowy we wszystkich dziedzinach.

* * *

Ta ostatnia chwila decyzji wymaga od nas tego właśnie skonfrontowania dalszej i bliższej przeszłości z chwilą dzisiejszą i wyciągnięcia właściwych wniosków, nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale także i politycznej. Nie ma Polaka, chyba że był zdrajcą lub zaprzańcem, któryby nie cierpiał pod niemiecką okupacją, który by w walce z nią nie poniósł ofiary i nie stracił kogoś z bliskich. Zagadnieniem głównym więc polityki polskiej jest niedopuszczenie do powtórzenia się klęski 1939 roku, gdyż klęska taka mogłaby zadecydować o niebycie naszego narodu. Koniecznym więc jest poszukiwanie i odnalezienie w powojennym świecie siły dla Polski i dążenie do takiego ułożenia stosunków międzynarodowych, który by zapewnił Polsce pokój na długie lata.

Polska więc nie może już nigdy pozostać osamotniona w obliczu Niemiec, lub też posiadając sojuszników dalekich, których pomoc przychodzi zbyt późno.

Nowa Polska posunęła swe granice daleko na Zachód, te granice dają jej siłę gospodarczą, wielki potencjał przemysłowy fabryk, kopalń i hut, bogactwo ziemi i wielkie korzyści z kilkakrotnie poszerzonego wybrzeża morskiego. Ale za tą granicą są i pozostaną zawsze Niemcy. Czym są oni dla Polski wiemy dobrze. Musimy więc taką prowadzić politykę, by Niemcy nigdy więcej nie stali się dla nas groźni.

Polityka Becka i Rydza, polityka flirtu z Niemcami, polityka faszystowska na zewnątrz i na wewnątrz kraju doprowadziła naród do katastrofy. Przezwyciężając jej skutki i odbudowując Polskę nową, oparliśmy ją na innych zasadach. Na zasadach demokracji i sprawiedliwości społecznej. Ta demokracja nie może być ani słaba, ani chwiejna, wówczas bowiem zgotowałaby sobie rychłą klęskę, a narodowi nową katastrofę.

W świecie, w którym faszyzm został pokonany, zwyciężony militarnie i ideologicznie nie może istnieć, żyć i rozwijać się inna Polska jak właśnie ta, która jest. Błędem byłoby szukać innych rozwiązań ustrojowych i politycznych, gdyż zważyć musimy, że Polska tak formująca się, jak ją widzimy obecnie, jest jedyną zdolną do istnienia.

* * *

Te myśli muszą rządzić każdym uczciwym i patriotycznym Polakiem, gdy decydować będzie, jak oddać ma swój głos, jak wykonać swoje prawo do decydowania o losach swojej ojczyzny.

„TYDZIEŃ" W WARSZAWIE

Dnia 15 stycznia rb. nastąpiło przeniesienie wydawnictwa „Tydzień" do Warszawy.

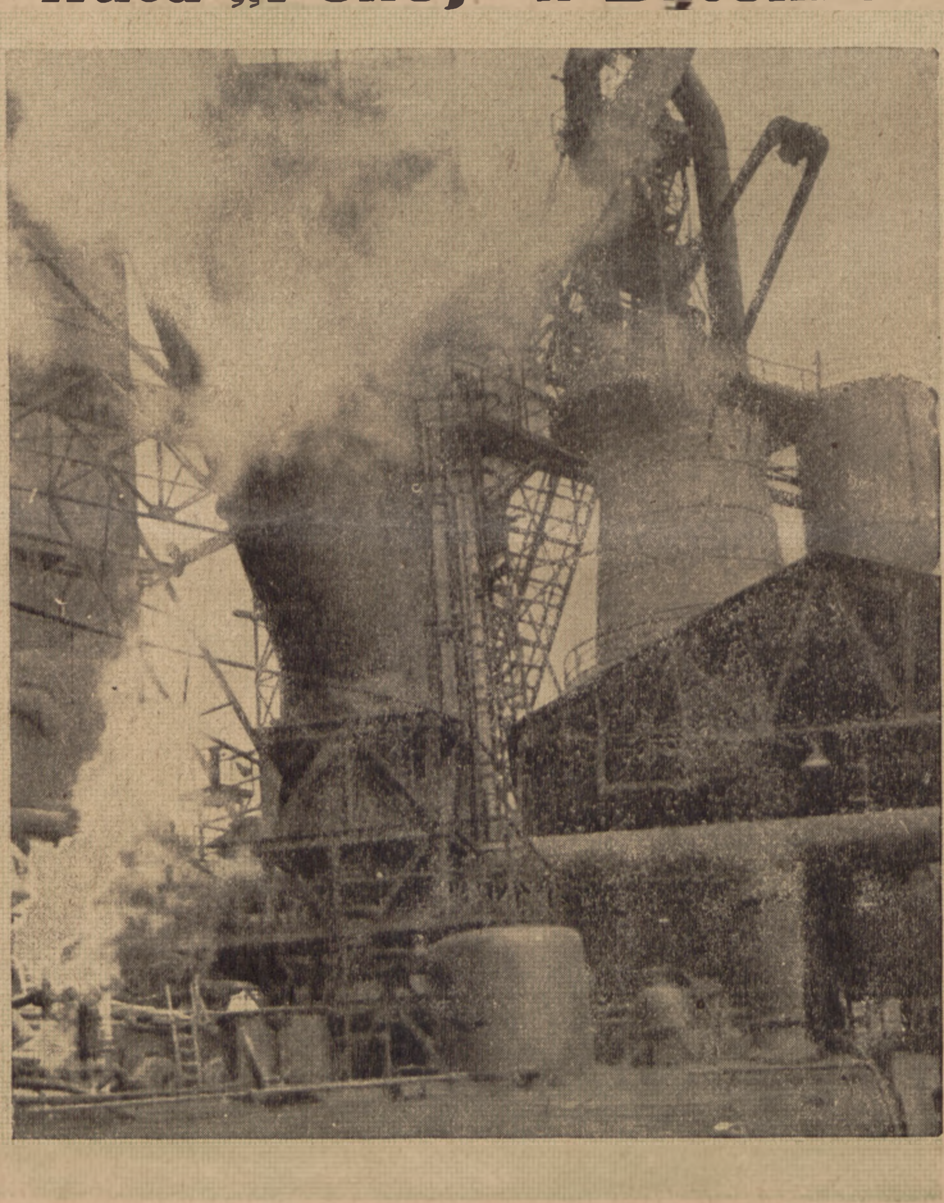
Adres Redakcji i Administracji w Warszawie jest — SZPITALNA 5, m. 8.

W ten sposób, jak wiele innych pism polskich, „Tydzień" po okresie przygotowawczym i organizacyjnym porzucił Łódź i przeniósł się do stolicy. Przeniesienie to pozwoli pismu naszemu na dalszy rozwój i rozbudowę, na ściślejszy związek z bieżącymi wydarzeniami społecznymi, gospodarczymi i kulturalnymi.

Opuszczając gościnną Łódź, wydawnictwo „Tygodnia" składa wszystkim przyjaciołom i współpracownikom pisma, zarówno redakcyjnym jak i technicznym, zespołowi Zakładów Graficznych „Społem" i zespołowi Zakładów Fotochemigraficznych, pod zarządem państw. (dawniej R. Borkenhagen) serdeczne podziękowanie. Nie wątpimy, iż przyjaciele nasi pozostaną nam nadal wierni i będą się czuli nadal związani z naszym wydawnictwem.

Obowiązki dalszego łączenia „Tygodnia" z terenem Łodzi i okręgu spełniać będzie oddział nasz, który mieścić się będzie w dotychczasowym lokalu wydawnictwa, przy ulicy Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37, m. 1, tel. 149-06. Czytelników naszych, prenumeratorów, kolporterów i współpracowników z tego terenu prosimy o zwracanie się nadal pod tym znanym im dobrze adresem.

Huta „Pokój" w Bytomiu



tak i nie

Byrnes ustąpił



Ustąpienie amerykańskiego męża stanu zostało przez Polaków powitane bez żalu. W pamięci naszej Byrnes zapisał się jako mówca ze Stuttgartu, gdzie nakreślił szeroki program odbudowy Niemiec i podsycił nadzieje Niemców na rewizję wschodnich granic.

Mowa ta źle zresztą wpłynęła na karierę amerykańskiego ministra. Jego program w zakresie sprawy niemieckiej poszedł tak daleko, że trudno z nim było przedstawić się na konferencjach w Londynie i w Moskwie. Toteż musiał Byrnes podać się do dymisji. Jest to jedna jeszcze ofiara Niemców — z gatunku tych jednak, których specjalnie nie żałujemy.

Wojskowi robią politykę



Następcą Byrnesa został mianowany niespodzianie dla wszystkich — i w Ameryce i na całym świecie — gen. Marshall, jeden ze zwycięskich wodzów alianckich ostatniej wojny.

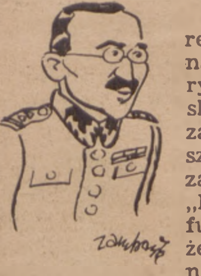
Nominacja ta ma swój wydźwięk wewnętrzny. Oto demokraci pragną ratować swe zagrożone pozycje. Marshall ma być skuteczną obroną przed wysunięciem kandydatury na prezydenta republikańskiego gen. Mac Artura, jak i reprezentującego tendencje wojskowej dyktatury gen. Eisenhowera.

Z drugiej strony objęcie przez wojskowego teki ministra spraw zagranicznych ma na celu ułatwienie stosunków międzyalianckich. Jest to ten sam motyw, który skłonił rząd brytyjski do wysłania z misją do Moskwy marszałka Montgomery'ego. Wówczas gdy zawodowi politycy i dyplomaci nie mogą się porozumieć, wysuwa się na plan pierwszy generałów, zasłużonych tym, iż w okresie wojny umieli się dogadywać ze swoimi kolegami z innych krajów.



W każdym więc razie i wizyta Montgomery'ego w Moskwie i nominacja Marshalla są objawami tej samej tendencji, która coraz mocniej dochodzi do głosu i w Wielkiej Brytanii i w USA, tendencji dogadania się i porozumienia ze Związkiem Radzieckim.

Fordowska taśma



Ford znów osiągnął rekord. Tym razem jednak chodzi nie o amerykańskiego, ale o polskiego Forda. „Zakazane piosenki" — pierwszy film długometrażowy zaprezentowany przez „Film Polski" — triumfuje na ekranach, a także i na ulicach. Subtelni esteci mają temu filmowi szereg rzeczy do zarzucenia. Ponad ich wątpliwościami jednak panuje sukces „Zakazanych piosenek" wśród szerokich rzesz. Mniejsza z tym świadomie czy nieświadomie, ale niewątpliwie umiały one poruszyć pewne głębokie struny patriotyczne. I to obu patriotyzmów na raz — i polskiego i warszawskiego.

Jest rzeczą, obok której nie można przejść ze wzruszeniem ramion, że afisze „Zakazanych piosenek" cieszą się największym zainteresowaniem przechodniów i że milicja staczać musi bohaterskie walki z tłumami, oblegającymi sale kinowe mimo kilkustopniowego mrozu.

Oczywiście, że film ma wiele braków. Twórczość artystyczna jednak wymaga przede wszystkim ciągłości. A ciągłość przez siedem lat była przerwana, a poza tym w tej dziedzinie nie bardzo było do czego nawiązywać. Nie ma więc co utyskiwać na to, że ten pierwszy polski film nie zaspakaja wszystkich wysokich wymagań artystycznych. Jeśli zrobi to dwudziesty — to wcale nie będzie tak źle.

19 stycznia

Dzień wyborów zbliża się szybko. Jak doniosła prasa, prezes Mikołajczyk zamierzał ogłosić bojkot. Dowiedzieliśmy się o tym zresztą już przed tym od akredytowanych w Warszawie korespondentów zagranicznych, będących stałymi powiernikami zamiarów i tajemnic wicepremiera.

Ale bojkotu nie będzie. PSL ogłosiło, że bojkotuje wybory tylko tam, gdzie unieważniono listy. Ta decyzja przypomina nieco wydarzenie z Napoleonem, kiedy przybył on do pewnego małego francuskiego miasteczka i nie usłyszał na swe powitanie armatnich wystrzałów.

— Dlaczego na moje przybycie nie słyszę salw armatnich? — pyta się cesarz mera.

Blady i wystraszony ojciec miasta usiłuje tłumaczyć:

— Stało się to, Sir z pięciu powodów. Przede wszystkim w naszym mieście nie ma armat... Po drugie...

— No, to już starczy — przerwał mówcy Napoleon, gdyż był on człowiekiem rozsądnym i nie lubił niepotrzebnego gadulstwa.

Schumacher czyli V-3



(„Canard Enchaîné" — Paryż)

Huxley dyrektorem UNESCO

Julian Huxley, wybitny uczony angielski, został wybrany dyrektorem generalnym UNESCO. Wychowanek Eton i Oxfordu, nie ograniczył się do wąskiej specjalności. Już pierwsze jego dzieła wykazują dążność do syntezy, do wprowadzenia porządku i systematyki w szerokiej dziedzinie biologii. M. in. razem z H.G. Wellsem napisał on popularne dzieło „Wiedza życia".

Kariera Huxleya była dość niepowszednia. Podróżował bardzo dużo i przeprowadzał badania w wielu krajach. Pracował naukowo w Neapolu, był profesorem zoologii w Texasie, wreszcie osiadł w Oxfordzie jako dziekan jednego z uniwersyteckich wydziałów. Zajęcia naukowe nie przeszkodziły mu jednak w uczestniczeniu w wyprawie arktycznej na Spitzbergen, i w podróży do Afryki Wschodniej.

Jego szerokie zainteresowania znajdują odźwierciedlenie w pisanych przezeń książkach. W ciągu ostatnich lat dwudziestu wydał m. in. dzieło o religii, a w ślad za tym podręcznik naukowy o biologii zwierzęcej. Po essayu o ptakach przyszła praca o warunkach w Afryce Wschodniej. A nawet wśród tych naukowych książek zabłąkał się tomik poezji.

W pierwszym okresie wojny Huxley był sekretarzem Towarzystwa Zoologicznego w Londynie i aż do 1942 r. dyrektorem londyńskiego Zoo. W tym to czasie ukazało się jego dzieło „Ewolucja — współczesna synteza", które wielu naukowców uważa za najznaczniejszą pracę o ewolucji od czasów Darwina. Obok tego wydał on jednocześnie essay pod tytułem „Demokracja idzie naprzód".

Lecz nawet w odniesieniu do problemów socjologii Huxley nie przestaje być naukowcem — przyrodnikiem. Podchodzi on do zagadnień od strony rozumowej a nie emocjonalnej. Jako przyrodnik bada przede wszystkim fakty a nie dogmaty. Ci, którzy znają go bliżej twierdzą, że to połączenie chłodnej logiki z szerokimi zainteresowaniami i głębokim entuzjazmem dla wszelkich zjawisk natury powinno znacznie przyczynić się do rozwoju międzynarodowej instytucji, na czele której niedawno stanął.

NASZA OKŁADK



„Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka
Taka, zda się, odludna i taka wysoka.
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrano,
Stoi trójca świecących wież Świętego Jana
Dalej ciemna ulica, a z niej, jak kieś szar
Wygląda w perspektywie sinej Miasto
Stare

Te słowa „Uspokojenia" Słowackieg przywodzi nam na pamięć druga rocznic wyzwolenia Warszawy spod niemieck okupacji, upływająca 17 bm. Już niezadłu go ta nowa kolumna, na której wznie sie się z powrotem posąg króla Zygmun ta III, będzie gotowa i posąg znów stan na placu Zamkowym, symbolizując z p wrotem wielkość stolicy Polski.

Ostrze na ostrze

GOŚĆ W DOM...

Jak wiadomo, jesteśmy narodem niezwykle gościnnym. Pięknie to określa nasze staropolskie przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom". W miarę sił i możliwości staramy się i dziś podtrzymywać te tradycje naszych przodków dziedzicząc ich rozliczne wady oraz jednocześnie — zalety.

Inna rzecz, że nie zawsze na tym dobrze wychodziliśmy. Różnie tam z tymi gośćmi bywało. Na przykład pamiętamy niektórych przedwojennych amatorów polowania w Polsce. Tak im się nasza piękna, malownicza Polska spodobała, że zanim jeszcze potomstwo ubitych przez nich sarenek zdążyło dorosnąć, sprowadzili się do nas — ale już w znacznie liczniejszym gronie i na inne nieco łowy....

Nawet i pamiętać się o nich nie chce.

Ale bywają przecież i innego gatunku goście. Prawdziwi przyjaciele, prawdziwa radość dla domu. Tacy, co to i prezent przyniosą jeśli wiedzą, że w spiżarni masz puste półki, a jeżeli przyjdą i zastaną ciebie przy robocie, przy reperacji jakiegoś uszkodzenia, sami rękawy zawiną i dalej— pomagać!

Bywają też goście obojętni, ot, takie znudzone, zamożniejsze od ciebie snoby. Przyjdą, z obowiązku, bo wypada odwiedzić ubogich znajomych, chociażby dla uspokojenia własnego sumienia. Obejrzą z pogardliwą miną twoje kąty, wycedzą parę zdawkowych uprzejmości i wymkną się czymprędzej z westchnieniem ulgi.

Znamy również gatunek gości t. zw. „życzliwych". Są przeważnie bardziej skorzy do udzielania dobrych rad, niż pomocy. Cóż — jak to mówią: „na bezrybiu i rak ryba" — dobre słowo też coś znaczy. Gorzej jednak gdy rady te absolutnie nie nadają się do naszego domowego użytku. Być może, że dobre są gdzie indziej, ale w naszym klimacie — nie. Nie mamy czasu kultywować np. angielskich trawników, kiedy musimy siać zboże. Wtedy gość się obraża. Gość nieuprzejmie krytykuje nasze domowe gospodarstwo. Gwałtownie się domaga, żebyśmy się jednak zastosowali do jego wskazówek.

Jeszcze gorzej bywa, jeżeli „życzliwy" gość jest nadmiernie ciekawy domowych stosunków i stosuneczków. Być może te stosuneczki nie są idealne. Jak to w każdym domu bywa: członkowie rodziny się kłócą, wujaszek nie rozmawia z ciocią, jeden synek podbił drugiemu oko, małżeństwo podejrzewa się nawzajem o niewierność i tym podobne drobiażdżki. Ale — przepraszam — co to gościa obchodzi??? — Jakim prawem wtrąca się w te rodzinne spory???

Nadomiar złego — gość ma brzydki zwyczaj wynoszenia tych ploteczek za progi gościnnego domu...

A co już najgorzej — są takie wyrodki w rodzinie, które mu w tym usilnie i niebezinteresownie pomagają. Wyszedł ostatnio na jaw taki wypadek. Zresztą nie pierwszy. Jednego bowiem mamy kuzynka w rodzinie, który notorycznie, rzec by można, biadoli przed obcymi gośćmi: „proszę pana ambasadora oni mi dokuczają..." Zawsze ma o coś pretensje i spędza czas na gorzkich żalach i rozpamiętywaniach, podczas gdy reszta rodziny pracuje w pocie czoła. Oczywiście na swoje i na jego utrzymanie.

Ale znalazł się u nas bardziej szkodliwy gagatek. Grocholski się nazywa. U tych gości, wspomnianych na początku, co to na łowy do nas przyjeżdżali, za naganiacza służył. Widać, już tak się przyzwyczaił obcym służyć, że jak tamtych licho wzięło, wyszukał sobie czymprędzej inną cudzoziemską posadę. Jednemu ambasadorowi listy o domowych sekretach nosił. Ale nakryli go. Za nieuczciwe robienie konkurencji poczcie. I posadzili go za tę posadę...

A niedyskretny pan ambasador zawstydził się bardzo i podobno dyskretnie opuścił Warszawę — po angielsku...

AVIS

OPŁATEK PRACOWNIKÓW
Oddziału Włókienniczego Nr 1
Związku Gospodarczego „SPOŁEM"

Pracownicy Oddziału Włókienniczego Nr „Społem" zebrali się w dniu 11 stycznia tradycyjnym opłatku.

Ogromna sala zastawiona stołami na kt rych widzimy masę smacznych kanapek o butelki z piwem i surówką mieści ponad 4 osób. Na jednej ścianie sztandar tęczowy po przeciwnej pięknie przystrojona choink płonąca w blasku elektrycznych lampek.

Imieniem Rady Zakładowej witał obecny ob. Sędziwy. Z kolei zagaił okolicznościow przemówienie kier. Walczakowski mówiąc planach i zamierzeniach pracy spółdzielcz na przyszłość. Popularny i serdecznie witan dyr. Zawadzki składał życzenia zebranym p kreślając więź jaka łączy wszystkich sp dzielców — kto raz wstąpi w ich szere trudno mu później odejść z placówki. Prz mówienie dyr. Zawadzkiego było kilkakrotn przerywane entuzjastycznymi oklaskami prz zebranych. Następnie kier. Mrówczyński il trował pracę roczną na swoim odcinku.

Na zakończenie części oficjalnej Deleg Zarządu dyr. Rapalski podkreślił znaczen spółdzielczości na tle dorobku demokracji dowej w Polsce.

Części artystycznej rozpoczętej satyrą najbliższych współpracowników dopełniły wysokim poziomie śpiew kolęd i produk muzyczne.

Wśród zebranych wywiązał się nastrój s deczny i życzliwy, prawdziwie koleżeński.

Z-a



Stanisław Szwalbe wiceprezydent K.R.N.

SPÓŁDZIELCZY APEL WYBORCZY

Sala Teatru Polskiego była w ubiegłą niedzielę terenem wielkiej manifestacji spółdzielców warszawskich na rzecz Bloku Demokratycznego.

Z trybuny udekorowanej barwami narodowymi i spółdzielczymi przemawiał wiceprezydent KRN Stanisław Szwalbe, prezydent m. st. Warszawy Stanisław Tołwiński, prezes „Społem" Jan Żerkowski, prezes Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych Stanisław Michalski, sekretarz generalny Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych Henryk Jędrzejewski i delegat Zarządu „Społem" na Okręg Warszawski Józef Tyborowski.

Przemówienia wyrażały przekonanie, iż ideologia i program Bloku Demokratycznego całkowicie odpowiada postulatom spółdzielczości i dlatego każdy spółdzielca bez względu na swoją przynależność partyjną winien poprzeć go swym głosem.

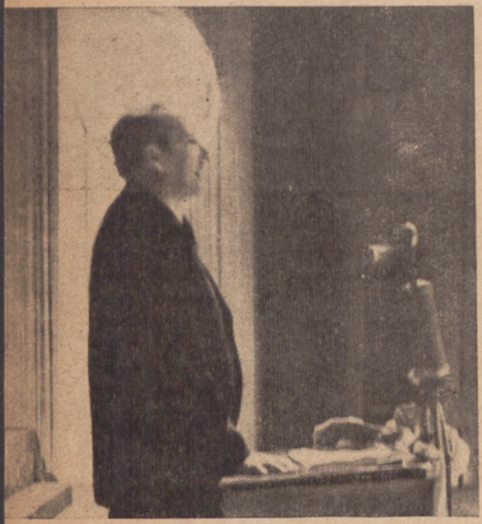
Spółdzielczość dąży do przebudowy ustroju w duchu demokratycznym. Dzieła tego nie będzie jednak mogła dokonać bez ścisłej współpracy z innymi ruchami demokratycznymi, z którymi związała się od początku. Przebudowa ustroju jest jednym z warunków utrzymania i utrwalenia niepodległości i dążyć do niej musimy już nie w interesie jakiejś klasy, ale w interesie całości Polski.

Zgromadzenie uchwaliło rezolucję głosowania podczas nadchodzących wyborów na listę nr 3.

Na zdjęciach obok fragmenty ze spółdzielczego apelu wyborczego w Warszawie.



Stanisław Tołwiński — prezydent m. st. Warszawy.



Jan Żerkowski — prezes „Społem".
(Fot. Brzozowski)



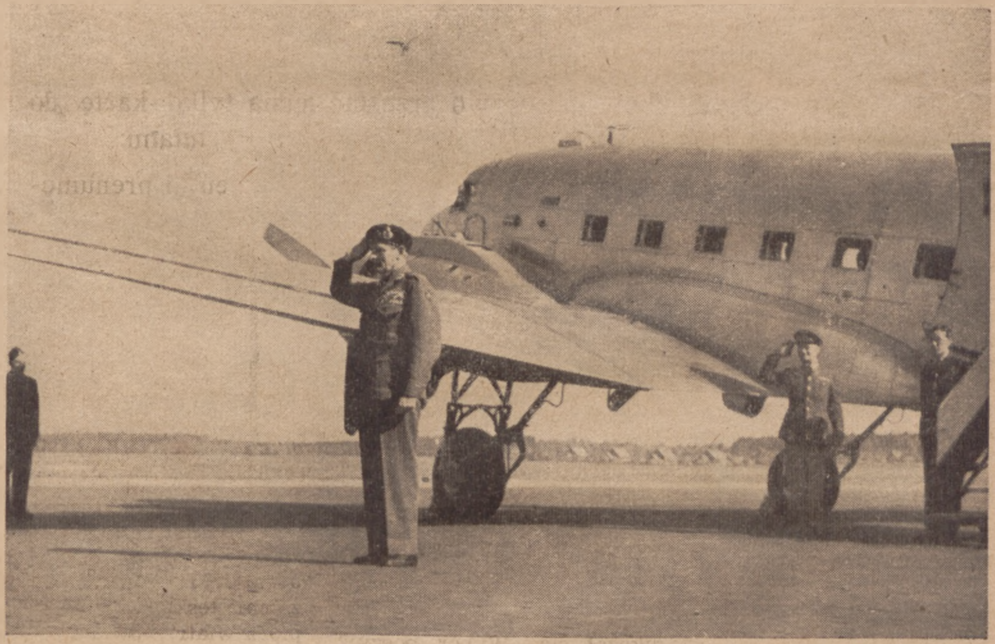
Józef Tyborowski — delegat Związku „Społem" na okrąg warszawski.



Państwo Joliot-Curie na wiecu w „Romie" serdecznie witani byli przez ludność stolicy



I-y turniej piłki ręcznej spółdzielczych klubów sportowych w Warszawie o nagrodę prezesa „Społem" Jana Żerkowskiego. Na zdjęciu prezes Żerkowski wręcza I-ą nagrodę zwycięskiej drużynie łódzkiej.



Montgomery w drodze do Moskwy.

Otwarcie 50-ego sklepu Spółdzielni Warszawa Śródmieście

Spółdzielczość nie dąży do całkowitego monopolizowania handlu, chce jednakże odgrywać decydującą rolę na rynku jako regulator zwłaszcza w artykułach pierwszej potrzeby, do którego musiałby się stosować handel prywatny. Żeby odegrać rolę regulatora spółdzielczość musi dysponować odpowiednią siecią sklepów. Jej hasłem jest: „Jeden sklep spółdzielczy na 1000 mieszkańców". Wyrazem tego była uroczystość otwarcia 50-ego sklepu spółdzielni Warszawa—Śródmieście przy ul. Wspólnej nr 46/48. Prezes „Społem" Jan Żerkowski dokonał przecięcia wstęgi i wygłosił przemówienie, zachęcając spółdzielców warszawskich do nieustawania w wysiłkach.



Prezes Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. Edmund Pszczółkowski kupuje w 50-ym sklepie Warszawa—Śródmieście.



Stary kościołek drewniany w Ostropie w pow. gliwickim, wybudowany przez śląskich książąt piastowskich.
(Fot. H. Makarewiczowa)



10.I.1947 r. otwarto nową linię lotniczą P. L. L. Lot: Łódź—Katowice. Zdjęcie przedstawia przylot maszyny łódzkiej na lotnisko katowickie.

ZGŁASZAMY KANDYDATURY DO NAGRODY „TYGODNIA“

Przyznanie nagrody „Tygodnia“ za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945—1946 wchodzi w okres bezpośredniej realizacji.

Skład sądu konkursowego został już ustalony. Na zaproszenie redakcji „Tygodnia“ Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Główny Związku Literatów Polskich i Zarząd Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień“ delegowały już swoich przedstawicieli.

Tak więc Ministerstwo Kultury i Sztuki reprezentować będzie wiceminister **Leon Kruczkowski.**

Związek Zawodowy Literatów Polskich — **Jarosław Iwaszkiewicz** i **Juliusz Żuławski.**

Spółdzielnię Wydawniczą „Tydzień“ — **Jerzy Wyszomirski**

Redakcję „Tygodnia“ — **Zbigniew Mitzner**

Zgodnie z ustalonymi warunkami nagrody sądu konkursowego poprzedzi głosowanie Czytelników. Poniżej podajemy pierwszy kupon do głosowania, który należy wypełnić i przesłać pod adresem redakcji „Tygodnia“, Warszawa, Szpitalna 5, m. 8, w terminie do dnia 10 lutego rb.

ZASADY GŁOSOWANIA SĄ NASTĘPUJĄCE:

1. Głosować można na wszystkie książki polskie wydane na terenie Rzeczypospolitej w latach 1945—1946. Wyłączone są tłumaczenia z języków obcych i wznowienia książek wydanych przed 1-ym września 1939 r.
2. Można natomiast głosować na książkę, będącą wznowieniem dzieła, którego pierwsze wydanie ukazało się na emigracji lub też jako druk podziemny w latach 1939—1945.
3. Każdy z Czytelników ma prawo przesłać jedną tylko kartę do głosowania, wypełniając ją co najwyżej pięcioma tytułami.
4. Głosy członków Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień“ i prenumeratorów „Tygodnia“ liczą się podwójnie.
5. Dziesięć kandydatur, które w głosowaniu Czytelników uzyskają największą ilość głosów, będzie przedstawionych Sądowi celem wyboru jednej książki, której autorowi przyznana będzie nagroda.
6. Gdyby Sąd Konkursowy uznał, że wśród zgłoszonych kandydatur nie ma — według jego opinii — godnej otrzymania nagrody ma on prawo wyznaczoną sumę 100.000 zł. podzielić między jedną z książek, wysuniętych przez czytelników, i książkę, która nie uzyskała większości w głosowaniu lub też w ogóle nie została w głosowaniu wysunięta.
7. Czytelnicy, biorący udział w głosowaniu, których opinia co do przyznania nagrody zgodna będzie z ostateczną decyzją Sądu otrzymają premie książkowe z autografami autorów.

NAGRODA „TYGODNIA“

za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945-1946

Zgłaszam następujące kandydatury:

1. Autor ....
   Tytuł książki ....
2. Autor ....
   Tytuł książki ....
3. Autor ....
   Tytuł książki ....
4. Autor ....
   Tytuł książki ....
5. Autor ....
   Tytuł książki ....

Imię i nazwisko głosującego ....

Adres ....

Czy jest Pan(i) prenumeratorem „Tygodnia“ ....

Czy jest Pan(i) członkiem Spółdzielni Wyd. „Tydzień“.

Ty jesteś jak zdrowie...

Nakładem „Czytelnika“ ukazał się „Wybór poezyj“ Antoniego Słonimskiego, ozdobiony portretem autora. Widzimy znajomą sprzed wojny okrągłą łysą czaszkę, te same wielkie okulary i ów charakterystyczny nos, o którym w jednym ze swych młodzieńczych wierszy jego posiadacz powiedział ze smutkiem i z ironią: „Z Henrykiem Heinem zasię mam coś wspólnego, co się poznaje momentalnie po specyficznym nosie“. Ale na portrecie nietylko nos Słonimskiego jest heiniczny. W całej postaci, niedbale rozpartej w fotelu; w fałdach ni to płaszcza ni to chusty, którą poeta jest otulony; w układzie wąskich dłoni; w przymkniętych oczach; w zadumie na wychudzonej twarzy — wszędzie czuje się heiniczność i bajroniczność czyli zwykłą, odwieczną ludzką romantyczność. A gdy się rzuca okiem na spis rzeczy, zebranych w książce, zwiększa się nastrój romantyczny, bo oto wiersze ujęto w trzy działy, noszące mickiewiczowskie tytuły: „Młodość górna i chmurna“, „Wiek męski“ i „Wiek klęski“, rdzeniem zaś całego zbioru jest poemat pt. „Popiół i wiatr“ — poemat o Warszawie, którą — z emigracji — chce poeta przypomnieć nam, co „czujemy jeszcze na twarzy woń jej pogorzeliska, bijącą z gruzów domowych ołtarzy“, a przypomnieć ją tak powabną, jaką była ongi, za czasów jego młodości. Poemat jest więc romantyczną wyprawą w kraj lat dziecinnych, który zawsze zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie. Zrodził się niewątpliwie w podobnej co „Pan Tadeusz“ atmosferze. O czym tu dumać na londyńskim bruku, przynosząc z miasta uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów? Takie mickiewiczowskie pytania zadawać sobie musiał Słonimski, i odpowiedzi na nie szukał w tęsknocie do owego miasta, które mu było lube jak zdrowie, i które ocenił dopiero wówczas, gdy je utracił; a utracił nie tylko dlatego, że w czas morowy uniósł lękliwie za granicę głowę, ale i dlatego, że dziś rzeczywiście na ruinach tego miasta wiatr popioły rozwiewa.

Cytatami z Mickiewicza możnaby mówić o poemacie Słonimskiego. Bo u kolebki jego stał duch Adama. I duch Juliusza również. Te duchy nie tylko natchnęły poemat żalem, tęsknotą i miłością, ale i nadały mu formę, „Popiół i wiatr“ bowiem pisany jest i panatadeuszowym trzynastozgłoskowcem i Słowackiego miłodźwięczącą sekstyną. I sekstyna toczy się tak gładko, w rymach tak prostych i znanych, że na pamięć przychodzi wyznanie Słowackiego: ktoś by pomyślał, że poetę rymy wiozą, że sobie konno siadł na pierwszym, a dalej za nim jedzie krok za krokiem rym z parasolem, torbą i tłumokiem.

Być może dla niejednego z czytelników poemat o Warszawie stanie się niespodzianką: taki jest rzewny i sentymentalny, tak odskakuje od szablonowego Słonimskiego, jaki we wspomnieniach naszych sprzed wojny pozostał. Satyryk, ironista, złośliwy kronikarz bzdur ludzkich, przekorny polityk, dowcipniś, kalamburzysta i felietonista — oto przeciętne pojęcie o Słonimskim, utrwalające się w nas latami, gdyśmy co tydzień czytywali jego kroniki i recenzje teatralne w „Wiadomościach Literackich“. Z tym wszystkim jeszcze komediopisarz, ale również szyderca, i nawet pamflecista. Zaniedbywaliśmy w Słonimskim poetę. A prawdę mówiąc, **poetyckość** — była i jest jedyną i wyłączną postawą Słonimskiego wobec życia. Właśnie prawdziwy poeta zdolen dopiero ironizować, drwić, chłostać — i zmieniać się proteuszowo, gotując niespodzianki, i rzecz najważniejsza: w odmianach swych zawsze bezinteresowny, zawsze pełen miłości, z miłości do świata i do ludzi ironista. Przykładem niech będzie Słowacki, Heine czy Lermontow. Z takiego rodu poetów wywodzi się Słonimski. Niegdyś, w roku 1919, naprzekór wszystkim wyśpiewywał swoją „Czarną wiosnę“ — płomienną carmagnolę rewolucji: „Drżyjcie, burżuje, przyszedł czas! I twarde pięści jako głaz spadną na wasze białe pyski! Rzeźbiarzu, dłuto swoje rzuć. będziem burżuja w mordę kuć!“. Śpiewał to z takim samym przekonaniem, z jakim oświadczał potem, „w monarchii będzie rewolucjonistą, a w republice będzie wielbił króla“. I potem znowu, z takim samym przekonaniem, tłumacząc namiętnie „Marsz lewą“ Majakowskiego, odpowiadał mu: „My jesteśmy złączeni chłodnym bezmiarem przestrzeni — górą — górą!“. My — to znaczy poeci, którzy kochają wieczność, jakby powiedział inny poeta. Bezmiar i góra — to ich regiony, i właśnie tam „w bezmiar, wszędzie, za błękity“ chciał uwieść nas Słowacki.

„Popiół i wiatr“ nie stanowi tedy niespodzianki. Jego romantyczne tchnienie (powiedzmy to ze szlachetnym patosem) owiewa nas tak samo ożywczo, jak w dawnych poematach Słonimskiego — w „Oku za oko“ lub w „Podróży na Wschód“ I acz poemat opowiada o rzeczach powszednich — o starych ulicach warszawskich, o starych domach, o cukierni Semadeniego, o sprawach domowych — gdy się go czyta, pamięć natrętnie chce do niego zastosować platońskie słowa Norwida: „O sztuko, tęczo wiecznej Jeruzalem, tyś jest przymierza łukiem po potopach Historii: tobie gdy ofiary palim, wraz się jagnięta pasą na okopach...“ Zaiste, gdy się czyta poemat Słonimskiego, giną z oczu rumowiska Warszawy: „Wjeżdżamy przez Krakowskie w kraj wspomnień uroczy, znów witamy Warszawę dawną, miłą, starą. Zapomnijmy o wszystkim i zamknijmy oczy. Jedź, stara dryndo, tocz się, warszawska landaro: wszystko jest tak, jak było na tym bożym świecie; ot, z podróży wracamy znów na własne śmiecie“. Potop Historii, który zalewał nas przez tyle długich lat, odpłynął daleko: widzimy na niebie tęczę — łuk przymierza „między dawnymi a świeżymi laty“. Odpoczywamy — tak samo jak w „Panu Tadeuszu“, gdy „przy zabawie czytano nieraz pod lipą na trawie pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie...“

Tak więc, cytatami z romantyków możnaby mówić o poemacie Słonimskiego, rewokującym wciąż skojarzenia poetyckie. A oto jego zakończenie. Zwracając się do wiatrów, które rozniecają pożary i zagłuszają wszystko wyciem chaosu, poeta wie, że może je przekrzyczeć i zawołać z wiarą w prawdę swych słów: „Z pożaru mego miasta, bólu i udręki rośnie siła ogromna, co toruje drogi ‚moc co oręż wytrąca z gniewnej ludzkiej ręki...“ Heroicznym tedy akordem kończy się ten powszednio-romantyczny, sentymentalny poemat.

Jerzy Wyszomirski

SPÓŁDZIELCY NA LISTACH BLOKU DEMOKRATYCZNEGO

— Listy stronnictw Bloku Demokratycznego i Związków Zawodowych nazwać się mogą z powodzeniem listami Stronnictw Demokratycznych, Związków Zawodowych i Spółdzielczości.

Tak oświadczył na spółdzielczym apelu przedwyborczym wiceprezydent KRN Stanisław Szwalbe, wskazując na zgodność programu Bloku z programem polskiej spółdzielczości.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy życiorysy kilku jeszcze kandydatów spośród działaczy spółdzielczych, którzy kandydują z listy Nr. 3.

HENRYK KOŁODZIEJSKI



Urodził się 13.V.1884 roku w Warszawie. W czasach szkolnych pracował w nielegalnych kółkach uczniowskich i był w latach 1900 i 1901-ym redaktorem tajnego czasopisma „Ruch". W czasie rewolucji 1905—1906 był członkiem Komitetu Wojenno - Rewolucyjnego i został aresztowany w grudniu 1905 r. W zerwcu 1906 r. uciekł z Cytadeli, po czym udiował za granicą (uniwersytet wiedeńki i krakowski) i uzyskał dyplom doktoa filozofii.

W 1915 r. wrócił z Wiednia do Warszay i pracował w Biurze Prac Społecznych. o zebraniu się Sejmu Ustawodawczego ojął kierownictwo Biblioteki i Archiwum ejmu oraz Biura Prac Sejmowych, któe piastował do wybuchu drugiej wojny.

Zbliżywszy się dzięki bliskim stosunom z Romualdem Mielczarskim do runu spółdzielczego w pierwszych latach o wojnie światowej 1914—18 r. starał się współpracować z nim, załatwiając sprawy półdzielcze w Sejmie oraz wygłaszając w ow. Kooperatystów odczyty i pisząc arkuły.

W czasie okupacji niemieckiej kierował ramienia „Społem" naukowymi pracami z zakresu ruchu spółdzielczego dla rzyszłego państwa polskiego. W 1944 r. ko referent komisji programowej pod rzewodnictwem M. Rapackiego opracoał „Program Spółdzielczości Polskiej".

W czerwcu 1945 r. był powołany jako rzedstawiciel kraju na konferencję w loskwie, zadaniem której było utworzee Rządu Jedności Narodowej. Obecnie est prezesem Spółdzielczego Instytutu aukowego.

Ogłosił prace „Wnioski z kryzysu" 932), „Automatyzm cży planowa gospoarka" (1932), „Z zagadnień bezrobocia" 938).

ADAM RAPACKI



Urodził się we Lwowie 24.XII.1909 r. jako syn Marii z Dobrzańskich i Mariana Rapackiego, wówczas wydalonego poza granice cesarstwa rosyjskiego za działalność rewolucyjną. Oboje rodzice związani są ściśle z ruchem spółdzielczym. Ojciec — to twórca polskiej myśli półdzielczej w wielkim stylu. Matka — ddana ruchowi spółdzielczemu działaczka.

Adam Rapacki ukończył gimnazjum im. dama Mickiewicza w Warszawie, następ e Szkołę Główną Handlową w Warszaie, poświęcając się kierunkowi spółdzielemu. Uzyskał dyplom i magisterium nauk konomicznych i handlowych. Podczas stuów był prezesem Akademickiego Koła półdzielców. Następnie pracuje zawodowo Spółdzielczym Instytucie Naukowym na anowisku sekretarza Instytutu i sekrerza redakcji Spółdzielczego Przeglądu aukowego. W tym czasie drukuje szereg rac z zakresu teorii spółdzielczości i roli półdzielczości w gospodarce planowej. dbywa studia zagraniczne nad spółdzielzością czechosłowacką i włoską, w szczeólności nad wpływem faszyzmu na rozój spółdzielczości. Przed samą wojną zoaje kierownikiem oddziału rolnictwa w nstytucie Badania Koniunktur Gospodarych i Cen. Bierze udział w kampanii 939 r. i dostaje się do niewoli. W oficerkich obozach jeńców prowadzi działalność połeczną i publicystyczną w duchu demoratycznym, oraz pogłębiania i popularyzcji spółdzielczości. Po wojnie obejmuje anowisko kierownika Biura Prezydialego „Społem" jako jedna z najwybitniejych osobowości umysłowych ruchu spółzielczego w Polsce.

EDWARD OCHAB



Urodzony w Krakowie w 1906 roku. Skończył Akademię Handlową w Krakowie oraz Wyższe Studium Spółdzielcze. Od 1925 r. pracuje w ruchu spółdzielczym, w spółdzielniach chłopskich i robotniczych w Wieliczce, Warszawie, Radomiu i Krakowie.

Aresztowany wielokrotnie za działalność polityczną w ruchu robotniczym. Czynny działacz związkowy, rganizator licznych strajków robotniczych w walce z sanacją. W szeregach batalionów robotniczych bierze czynny udział w obronie Warszawy w 1939 roku, po czym przedostaje się do Lwowa, gdzie powraca do pracy spółdzielczej.

Po zdobyciu Lwowa przez Niemców udaje się do Zw. Radzieckiego, jest jednym z organizatorów Związku Patriotów Polskich oraz Wojska Polskiego — I Dywizji Polskiej im. Tadeusza Kościuszki. W Lublinie jest również jednym z pierwszych organizatorów polskich władz cywilnych.

Bierze udział w zdobywaniu Pragi i w walkach o sforsowanie Wisły dla niesienia pomocy powstańcom w Warszawie. Po powrocie do Lublina jest podsekretarzem stanu i następnie — ministrem Administracji Publicznej w Rządzie Tymczasowym. Odwołany z tego stanowiska po stworzeniu Rządu Jedności Narodowej, poświęca się wyłącznie pracy politycznej i spółdzielczej.

EDMUND PSZCZÓŁKOWSKI



Urodził się w Warszawie w 1904 r. Ojciec ślusarz był pracownikiem kolejowym. Po skończeniu gimnazjum wstąpił do Szkoły Głównej Handlowej, którą ukończył w 1927 r.

W czasie uczęszczania do szkół należał do socjalistycznych organizacji młodzieżowych.

W 1926 r. został wybrany członkiem Zarządu robotniczej spółdzielni w Pruszkowie i był przez rok jej faktycznym kierownikiem.

Po ukończeniu studiów zaczął w 1927 r. pracować w „Społem" jako lustrator spółdzielni.

Na skutek swojej pracy w demokratycznych organizacjach politycznych został wraz z żoną w połowie 1936 r. aresztowany i przetrzymany w więzieniu śledczym do 1939 r.

W czasie działań wojennych w 1939 r. znalazł się we Lwowie i tam pozostał. Po napadzie Niemców na ZSRR wyjechał w głąb Rosji.

W 1943 r. brał udział w organizowaniu Związku Patriotów Polskich, a na pierwszym Zjeździe wybrany został do Zarządu Głównego Z.P.P. Wobec jednak równoczesnego organizowania wojska poszedł jako ochotnik do I Dywizji Kościuszkowskiej.

Po przejściu różnych stanowisk w Wydziale Polityczno-Wychowawczym Dywizji a następnie stanowiska z-cy dowódcy pułku, mianowany został w stopniu majora z-cą d-cy 3-ej Dywizji Piechoty.

Z 3-cią Dywizją walczył miesiąc na przyczółku pod Warką, a następnie na Pradze przy forsowaniu Wisły przez tę Dywizję.

Później odwołany został do 2-ej Armii która wówczas była zorganizowana i został z-cą d-cy tej Armii generała Świerczewskiego.

W tym czasie otrzymał stopień pułkownika.

Za udział w walkach i organizowaniu wojska otrzymał II i III klasy krzyż Grunwaldu, V klasy krzyż virtuti militari, IV klasy Polonia restituta i szereg medali

Przez Radę Główną Związku Rewizyjnego Spółdzielni wybrany został na prezesa Zarządu Głównego.

Na ostatnim Kongresie Międzynarodowego Związku Spółdzielni w Zurichu wybrany został do Komitetu Centralnego, tego Związku.

ADAM KURYŁOWICZ

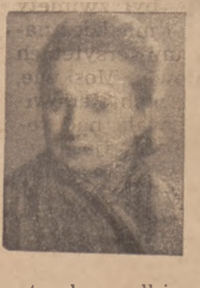


Ur. 21 grudnia 1890 r. w Klyzowie, pow. Nisko. Po ukończeniu szkoły oddaje się pracy w kolejnictwie. Już od stycznia 1909 roku, a więc w okresie prześladowania polskiego ruchu zawodowego w zaborze austriackim, bierze czynny udział w ruchu zawodowym kolejarzy, przechodząc wszystkie szczeble organizacyjne, by w roku 1918 stanąć na czele Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Kolejarzy. W roku 1917 staje na czele strajku generalnego kolejarzy polskich na znak protestu przeciwko rządom austriackim w Małopolsce,

Jako długoletni działacz Polskiej Partii Socjalistycznej i członek władz partyjnych bierze udział w pracach parlamentarnych do roku 1934 tj. do chwili rozwiązania Sejmu przez sanację. W czasie wojny za działalność konspiracyjną zostaje aresztowany przez Niemców w Warszawie, w 1941 roku, więziony na Pawiaku, następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie przebywa do stycznia 1945 roku. W czasie ewakuacji obozu na zachód ukrywa się i po wyzwoleniu obozu wraca do Krakowa, obejmując stanowisko komisarza dla niesienia pomocy byłym więźniom obozów koncentracyjnych. Równocześnie staje do pracy w PPS, zostaje powołany na członka Rady Naczelnej oraz wiceprzewodniczącego CKW PPS.

Organizuje w Warszawie Centralny Komitet Opieki Społecznej i obejmuje w nim stanowisko prezesa. W lipcu 1946 roku zostaje ministrem Pracy i Opieki Społecznej. Nie przerywa swej pracy na terenie zawodowym — jest nadal przewodniczącym Związku Zawodowego Kolejarzy. Interesuje się żywo ruchem spółdzielczym na terenie związkowym, inicjując powstawanie szeregu placówek spółdzielczych pracowników kolejarskich — jest prezesem Zarządu Głównego Spółdzielni Pracowników PKP.

JANINA ŚWIĘCICKA



Urodziła się 20 maja 1894 roku w Warszawie. W roku 1912-ym ukończyła średni zakład naukowy w Warszawie Natalii Porazińskiej z odznaczeniem. W piątej klasie koleżanki wciągnęły ją do nielegalnego kółka niepodległościowego, które miało na celu budzenie świadomości patriotycznej i potrzeby walki o wolność.

Po ukończeniu szkoły zarabiała na utrzymanie domu jako pracownica biurowa do roku 1915-go, następnie jako nauczycielka ludowa, a później nauczycielka w gimnazjum w Garwolinie.

W roku 1920-ym zaczęła pracować w Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców, gdzie zaznajomiła się z wybitnymi działaczami politycznymi i spółdzielczymi będącymi dziś na najwyższych stanowiskach

W roku 1925-ym przeszła do Kasy Chorych miasta Warszawy.

Tam wciągnęła się do pracy w klasowym Związku Pracowników Kas Chorych i Instytucji Ubezp.-Społecznych i pracowała w nim jako sekretarka Zarządu Głównego. Pracy spółdzielczej jednak nie zaniechała. Prowadziła na Żoliborzu w Warszawie Koło Czynnych Kooperatystek, z którego inicjatywy powstała później Liga Kooperatystek w Polsce.

W 1933-im roku przeniosła się do Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i utonęła w pracy spółdzielczej.

W roku 1935-ym powstała Liga Kooperatystek w Polsce, w której jako współzałożycielka była początkowo przewodniczącą zarządu,

W czasie okupacji niemieckiej w 1940-ym roku została aresztowana i osadzona na Pawiaku. Po trzech miesiącach udało się stamtąd wydostać i pod nazwiskiem Janina Wodzyńska przebywała w Mielcu jako pracownica Oddziału „Społem", a w połowie 1943 r. przeniosła się do Oddziału „Społem" w Łowiczu i zaczęła pracować w partii, jako członek R. P. P. S., będąc członkiem Zarządu pod pseud. „Ciotka".

W noc sylwestrową roku 1943/44 wzięła udział w posiedzeniu organizacyjnym Krajowej Rady Narodowej i dlatego jest posianką. W czasie powstania została ciężko ranna. Zaraz po wyzwoleniu, zgłosiła się do pracy w ruchu spółdzielczym i pracuje do dnia dzisiejszego w zakresie wychowania spółdzielczego kobiety. Jest pierwszą i jedyną kobietą w Radzie Nadzorczej Związku „Społem".

TEOFIL PSZCZÓŁKOWSKI



Urodzony 24 grudnia 1908 r. we wsi Pszczółki Górne, gmina Grudusk, pow. Ciechanowski, jako syn rolnika.

Naukę w szkole średniej rozpoczął w Ciechanowie kończąc gimnazjum państwowe w Ostrołęce. Pierwsze zetknięcie się z ruchem spółdzielczym w roku 1920 na terenie spółdzielni spożywców w Myszyńcu, pow. Ostrołęckiego.

Po zapisaniu się do Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie poświęca się studiom spółdzielczym, kierowanym przez pionierów ruchu spółdzielczego w Polsce: Mariana Rapackiego i Stanisława Wojciechowskiego.

Rozpoczyna pracę w „Społem" w r. 1937 pracując początkowo w okręgu pińskim i hrubieszowskim, gdzie zastaje go wybuch wojny w 1939 roku.

Z końcem 1940 roku przechodzi do Wydziału Gospodarczego, pracując najpierw jako buchalter w Stopnicy potem zaś jako kierownik Oddziału w Chmielniku.

Praca w „Społem" nie absorbuje go całkowicie, bierze czynny udział w organizowaniu Składnicy Materiałów Piśmiennych w Stopnicy, wchodząc do zarządu i forsując nieuznawaną jeszcze wówczas zasadę zawodowo-czynnego kierownictwa tego typu spółdzielni.

Koniec wojny w r. 1945 zastaje go w Chmielniku, skąd na krótko przechodzi do pracy w Biurze Prezydialnym Krajowej Rady Narodowej i powraca w końcu roku do pracy w Wydziale Rolniczym „Społem" na stanowisko pełnomocnika Zarządu.

Bierze czynny udział w pracach konspiracyjnych działaczy chłopskich, skupiających się wokół „Woli Ludu" i wchodzi do Krajowej Rady Narodowej jako przedstawiciel Stronnictwa Ludowego.

STANISŁAW SIDOWSKI



Urodził się dnia 30. 11. 1906 r. w Czeladzi, małej osadzie górniczej Zagłębia Dąbrowskiego. Ojciec był górnikiem kopalni „Czeladź"; do P. P. S. należał od 1902 r.

Po skończeniu szkoły powszechnej i średniej szkoły handlowej w Będzinie rozpoczął pracę na kopalni „Czeladź", a po redukcji w 1926 r. za działalność polityczną i zawodową po rocznym okresie bezrobocia otrzymał w 1927 r. pracę w Pow. Kasie Chorych w Sosnowcu, gdzie pracował do r. 1931.

Z Kasy Chorych zwolniony został za działalność polityczną. Po kilkumiesięcznym bezrobociu objął stanowisko kierownika Spółdzielni Spożywców w Grodźcu k. Będzina. Do P.P.S. wstąpił w 1925 r.

Po stworzeniu Centralnej Sekcji Spółdzielczej przy T.U.R. bierze udział w jej pracach obok wiceprezydenta Szwalbego, premiera Osóbki - Morawskiego, prezesa Żerkowskiego i wielu innych.

W listopadzie 1935 r. wyjechał do Łomży na posadę kierownika Powsz Spółdzielni Spożywców. W r. 1936 zostaje wybrany do Rady Okręgowej Spółdzielni Spożywców pow. łomżyńskiego, gdzie pełnił funkcję sekretarza. W r. 1936/7 był członkiem OKR. PPS na okręg łomżyński.

W początku 1937 r. obejmuje stanowisko kierownika obwodu Krajowej Spółdzielni Spożywców Kolejarzy w Radomiu. Równocześnie bierze czynny udział w pracach OKR. PPS i jednocześnie w Radzie Okręgowej Spółdzielni Spożywców pow. radomskiego.

W czasie ukrywania się pracował na terenie Warszawy, gdzie przeszedł powstanie warszawskie.

W dniu 4.3. 45 r. powołany został na członka Rady Nadzorczej „Społem" w kwietniu 1945 r. powołany został na członka Zarządu Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łodzi.

W dniu 3. 5. 45 r. powołany zostaje na posła do K.R.N. z ramienia PPS. Na pierwszym kongresie PPS w odrodzonej Polsce wybrany został do Centralnego Sądu Partyjnego.

Od 1. 9. 45 r. powołany został na pełnomocnika Zarządu „Społem" Związku Gospodarczego Spółdzielni R.P.

Po stworzeniu Banku Gospodarstwa Spółdzielczego powołany został do Rady Nadzorczej tego Banku.



(D o k o ń c z e n i e)

Naturalnie o sfotografowaniu jego wystrojonej głowy nawet mowy być nie mogło. Doktór radził nawet nie próbować. Od czego jednak są teleobiektywy w aparatach fotograficznych no i... żyłka „myśliwska“ u fotografującego? Łaziłem tak długo po „manyatta“, niby oglądając domki — ale zawsze w pobliżu lepianki z dziwnym mieszkańcem, aż ukazał się znów. Nie dotknąłem „tabu“, nie zbliżyłem się do niego. ale złapałem go teleobiektywem.

Chłopak ten był akurat w okresie przed „wyświęceniem“ go na „Morana“.

Masai mają zwyczaj obrzezywania chłopaków. Ale to nie niemowlęta lub w wieku dziecięcym, a właśnie w szesnastym, siedemnastym roku życia. Operację taką robi się w sposób naprawdę barbarzyński— po prostu dobrze wyostrzonym... mieczem! Na twarzy delikwenta naturalnie nie może się pojawić nawet ślad grymasu bólu! Nie wolno mu nawet drgnąć.

Po dokonaniu operacji stroją go właśnie w takie strusie pióra i musi kryć się przed oczyma obcych. nietykalny jako „tabu“, cierpiący i zażenowany — póki nie zagoi się rana.

Wtedy w „manyatta“ rozpoczyna się kilkudniowe święto. Utaczają większą niż zwykle ilość krowiej krwi, piją ją z mlekiem i tańczą dzień i noc. Potem zdejmuje się z chłopaka głowy strusi ubiór, a matka zaczyna zaplatać jego włosy w setki misternych warkoczyków smarując je i farbując czymś na kolor ceglasto-czerwony. Tak staje się on „Moranem“ i wtedy musi opuścić „manyatta“.

„Morani“ są to młodzi Masai, coś w rodzaju zakonu młodych mężczyzn. Oni właśnie strzegą stąd bydła, są wojownikami, myśliwymi. Mieszkają razem — ale poza obrębem „manyatta“, w swoich „morańskich“ szałasach.

Członkowie takiego „zakonu rycerskiego“ nie żenią się, dzieci nie mają, aczkolwiek bynajmniej nie żyją w celibacie. Mają swoje „przyjaciółki“, które przychodzą do nich z „manyatta“. Ale tymi przyjaciółkami mogą być tylko dziewczynki... przed okresem dojrzałości. Młoda kobieta już nie może chodzić do wioski „Moranów“, musi wyjść za mąż i pozostać w „manyatta“.

Jeżeli przed wejściem do szałasu Morana tkwi wbita w ziemię jego włócznia — oznacza to, że jest w domu, jest nie sam i znakiem tym ostrzega, że nie życzy sobie odwiedzin. Nie radzi się zbliżać do takich, zasłoniętych włócznią drzwi!

Radosny, młodzieńczy wiek „Morana“ kończy się w okresie 30—35 lat. Wraca wówczas do „manyatta“, bierze sobie żonę, drugą, trzecią... staje się głową rodziny, ojcem dzieci.

Wspomnienia z lat „morańskich“ muszą jednak być dla niego zawsze żywe i przyjemne, a więzy przyjaźni, zawarte z „Moranami“ z tego samego co i on okresu, trwają aż do śmierci.

Masai z tego samego okresu „morańskiego“ jest dla drugiego Masai zawsze najmilszym gościem. Ma prawo korzystać ze wszystkiego, co tylko ten drugi posiada. Łącznie z jego żonami...

Stąd zapewne powstało to oryginalne pozdrowienie, jakim się wita dwóch Masai z tego samego okresu „morańskiego“:

„Witaj, ojcze moich dzieci...“

Parokrotnie usiłowałem nabyć okazy wspaniałej broni Masai. Gdym chciał dokonać tego na własną rękę, samodzielnie, dotykałem jedną ręką włóczni czy miecza, a wyciągałem drugą z wymownie błyszczącymi szylingami. Masai zaczynał burczeć z niezadowolenia lub po prostu odwróciwszy się na pięcie odchodził. Myślałem z początku, że proponowana cena tak go oburzała. Podwajałem ją i potrajałem. Skutek zawsze był ten sam.

Poprosiłem wreszcie kiedyś tłumacza o załatwienie takiej transakcji. Nawet nie



Mieszkanka „manyatta“.

próbował. A doktór objaśnił mnie, że Masai NIGDY nie sprzedadzą broni! Byłby to wypadek wprost niesłychany!

Mogą natomiast broń podarować na znak szacunku czy przyjaźni. Naturalnie — o ile broń ta nie jest... poświęcona. A „święcą“ ją — krwią, krwią lwa albo... człowieka. Dopiero wtedy staje się prawdziwą bronią!

Akurat przed naszym przybyciem do dystryktu Masai zdarzył się taki wypadek: nocą, do lepianki jakiegoś murzyna—Kikuyu zastukano, a gdy Bogu ducha winny gospodarz wyjrzał — został przebity włóczniami dwóch Masai. Morderców odnaleziono bez trudu, nie ukrywali się wcale. Nie był to również absolutnie mord rabunkowy. Gdy przyprowadzono ich do biura „D. C.“, jeden był wystrojony orlimi piórami, drugi miał na głowie coś w rodzaju maski ze skóry lwa — imitującej głowę króla zwierząt. Właśnie obchodził święto „poświęcenia“ swojej broni. Byli jednak zbyt leniwi — by poszukać w tym celu lwa, woleli, że tak powiem, łatwiejszy sposób.

Wyrok sądu mógł być tylko jeden: kara śmierci przez powieszenie, ale nie wiem, czy spełnił on swe zadanie pedagogiczne, czy stał się przestrogą i czy był przez Masai zrozumiany. Zamordowany bowiem był bardzo stary, w dodatku ślepy, a więc komu ostatecznie był potrzebny?...

Pytałem potem, czy w tej okolicy (bo przecież Masai są rozsiani na olbrzymiej powierzchni!) często zdarzają się mordy? Uświadomiono mnie, że nie. że obecnie — bardzo rzadko, ot — tak: raz na miesiąc...

Teraz gdy siedzę nad maszyną do pisania wystarczy podnieść mi głowę — a widzę zawieszony na ścianie piękny miecz Masai. Miałem z nim sto i jeden kłopotów, ale zawsze będzie dla mnie wspomnieniem o tym dziwnym narodzie, tak odrębnym od mieszaniny innych murzyńskich plemion. Masai są już przeżytkiem, nie pasują do ram współczesnego nawet „murzyńskiego“ świata. Oni — nomadzi — wtedy gdy wolne przestrzenie na Czarnym Lądzi kurczą się w sposób zastraszający, Oni – „zakon“ wojowników Moranów — niepo trzebny, bo wojen wśród szczepów czar nych potęga Białego Człowieka surow zakazała, a jednocześnie okazała się za sła bą, by skusić Masai do wzięcia udział w wojnach Ludzi Białych. Oni — poganie mimo wszystkich wysiłków misjonarzy Oni — kochający wolność tak gorąco, aż... brzydzą się każdym rzemiosłem!...

Czy ten kraj suchych stepów i szareg buszu jest ich prawdziwą ojczyzną? Ko lebką tego narodu? Tego nikt nie wie, a wśród Masai żywa jest legenda, że przy szli oni z bardzo daleka, z krainy, prze którą płynęła wielka rzeka i gdzie n znało się pragnienia. Z krainy, gdz wprawdzie było mało drzew, ale traw pastwisk zawsze była soczysta, zielon i nawet największa posucha nie nios zagłady ich stadom...

inż. Wiktor Ostrowsk

Zdzisław Alter Zieniewicz ppor.

OSTATNIA AKCJA KAPRALA „FULA

(D o k o ń c z e n i e)

Pociąg biegł coraz szybciej.

Porucznik rzucił w naszą stronę nerwowo:

— Gonić pociąg i zatrzymać go!

Rzuciłem się z „Fulem“ i Bolkiem R. za uciekającym pociągiem. Bolek chory na płuca, zostawał się w tyle. Obok mnie biegł „Ful“. Pociąg był tuż-tuż przed nami. W tym momencie Dzidek jednym skokiem, trzymając w dłoni pistolet, wysunął się przedemną, drugą ręką chwytając się żelaznego uchwytu ostatniego wagonu. Zrobił skok. Był już na stopniu. Trzymałem się już i ja uchwytu i szykowałem się do skoku. Nagle, z przodu pociągu, rzygnęła ku nam długa seria z automatu wzdłuż ścian wagonów. Dzidek jęknął głucho i z rozłożonymi rękami zsunął się ze stopni wagonu, padając plecami na ziemię. Zeskoczyłem ze stopni błyskawicznie, aby go podtrzymać i usunąć się razem z nim z pola obstrzału wrażego automatu. Spojrzałem na wykrzywioną konwulsyjnie twarz Dzidka, makabrycznie wyglądającą w świetle księżycowym.

— Trafili mnie! syknął przez zaciśnięte zęby.

Chwyciłem granat, by rzucić go za oddalającym się pociągiem, lecz jęk przyjaciela zwrócił znów moją uwagę na niego. Starałem się Dzidka podnieść, lecz nogi miał zupełnie bezwładne.

— Dzidek, staraj się stanąć, ja ci pomogę... prosiłem.

Odpowiedzią był tylko przeczący ruch głowy. Obejrzałem się na resztę kolegów. Nikogo nie dostrzegłem, tylko Bolka R, biegnącego w naszym kierunku.

— Bolek. biegnij po resztę ,przecież sam sobie nie dam rady! — zwróciłem się do niego.

Zawrócił natychmiast i pobiegł do reszty kolegów, Bóg jeden wie gdzie ukrytych. „Ful“ jęczał i bladł coraz bardziej. Nie mogłem się jeszcze zorientować, gdzie został postrzelony. W okolicy pasa czułem tylko palcami lepkość krwi... Tymczasem reszta kolegów z „Jaworem“ na czele dobiegała do nas.

— Widzisz, już są wszyscy... Zaraz będzie dobrze... — pocieszałem nieudolnie rannego.

— Musimy go wziąć w czwórkę na ręce i zanieść do najbliższej chałupy. Tylko ostrożnie, może być krwotok! — rzuciłem kolegom.

Zrobiliśmy koszyczek z rąk i podnieśliśmy „Fula“. Zajęczał głośniej i począł prosić. abyśmy go dobili i sami uciekali, bo lada chwila będzie pogoń za nami. Szliśmy przez las, ku podmokłym łąkom, poza którymi biegł główny tor linii Skarżysko-Ostrowiec Świętokrzyski. Brodziliśmy, przy wtórze jęków rannego, poprzez podmokłą i bagnistą łąkę. Doszliśmy wreszcie do toru, a stąd do najbliższej budki strażnika kolejowego. Zbudziliśmy przerażonych ludzi, zażądaliśmy spirytusu lub gorącej wody i łóżka. Po zdjęciu butów i spodni z kaprala „Fula“, przeraziliśmy się wszyscy: dwa pociski wyrwały mu nerkę, trzeci zaś utkwił mu w prawym płucu. Natychmiast część rozbiegła się szukać lekarza. Po godzinie zjawiła się drżąca ze strachu kobieta-lekarz która opatrzyła rany porwanymi przez żonę dróżnika koszulami. Rany jednak wciąż krwawiły, i lekarka rozłożyła ręce, orzekając, że wszystko co może zr bić, to zastrzyk. Z uczuciem ulgi zapew ne poszła do domu.

Wyszedłem na dwór, gdzie dróżnik własnej inicjatywy zbijał już prymityw ne nosze. Wkrótce zawołano mnie do „F la“.

Pochyliłem się nad nim, widząc ruch jego warg. Złapał mnie kurczowo za r kę.

— Pamiętaj o matce i dziecku... Powie Danusi, że ją kocham...

Głowa opadła mu na poduszki. Kapr „Ful“ nie żył.

Była północ. Nie wiedziałem jeszcze, w Warszawie zaczął się już znacznie wię szy dramat, niż ten tutaj. Był to bowie 1 sierpnia 1944 roku.

Holandia żąda korektur granicy z Niemcam

Bezpośrednio po zakończeniu wojny Holu dia po raz pierwszy ogłosiła, że będzie się d magała tytułem odszkodowań części teryt rium niemieckiego. Obecnie, gdy sprawa N miec wkroczyła w fazę rozmów między m nistrami spraw zagranicznych czterech wi kich mocarstw, Holandia zdecydowała się w sunąć konkretne żądania. Obszar pogranicz



Compensation for Holland?
Shaded area may be claimed from Germany

którego przyłączenia domaga się Holadia j zamieszkały przez 850.000 Niemców, jedn Holendrzy nie zamierzają ich wysiedlić. dzą, że uda im się ich zasymilować. Poza t chcieliby osadzić tam na roli 60.000 chłopsk synów, nie mających własnych gospodars i 10.000 byłych żołnierzy Ruchu Oporu.

(wp

Remigiusz Kwiatkowski

WRÓŻBY

AMULETY MIŁOŚCI I WYMOWA

Sięgnijmy do „Ogrodu róż" perskiego poety adi'ego, po kwiaty, które hojną dłonią rozpał poeta-wróż, i powróżmy sobie o miłości szczęściu.

Kamieni wróżebnych, będących amuletami, st dwadzieścia cztery. Co pół miesiąca inny. leży więc je tyleż razy zmienić, zachowuc jeden, jako zasadniczy, i nosić go przez ły rok. Tajemny fluid jego, wzmagany przez dawane mu amulety półmiesięczne, napew- nie zawiedzie.

A więc:



CHRYZOPRAS

Jest wróżebny na pierwszą połowę stycza dla wszystkich. Dla urodzonych w takim asie przez cały rok.

Chryzopras ci szczęście wróży;
gdyś poetą, ściągnie laury,
miej go w domu czy w podróży,
podczas wszelkiej noś go aury.
Gdy zabłysnąć masz wymową,
także ci pomocny będzie,
melodią się stanie słowo,
niczym muzyczne narzędzie.
Bohaterstwo również wzmaga
chryzoprasu mleczna zieleń,
wzrasta męstwo i odwaga,
karki gną nieprzyjaciele.



RUBIN

est wróżebny na drugą połowę stycznia wszystkich. Dla urodzonych w takim czaprzez cały rok.

Nie dosięgnie cię puginał
plotek, obmów i zazdrości,
chociażby sam czart zaginał
parol na twoje wartości.
Każdą żmiję zdepczesz nogą
i łeb utniesz każdej hydrze,
niecny zamiar karcąc srogo,
zanim sławę ci kto wydrze.
Rubin będzie ci pancerzem
na zawiści ludzkiej glazy,
cnoty stanie się probierzem
i uchroni cię od skazy.

CHRYZOLIT

est wróżebny na pierwszą połowę lutego wszystkich. Dla urodzonych w takim czaprzez cały rok.

Jeśli kochasz sercem całym
i o przedmiot drżysz miłości,
by opętan zdrady szałem
nie załamał się w wierności —
noś w pierścieniu swym chryzolit
(fluid działa znakomicie),
a nie zaznasz tej niedoli,
która nieraz łamie życie.
Coraz mocniej i goręcej
aż do dni sędziwych końca
będziesz wciąż kochana(y) więcej—
chryzolit to twój obrońca.

AMETYST

Jest wróżebny na drugą połowę lutego dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Myśli w górny pęd wzbogaca
i prowadzi je do Boga,
wzniosłość ducha, prawda, praca —
oto losów twoich droga.
Przez życiowych kniej gęstwinę
idąc czy przez mroków bezdno,
zawsze znajdziesz swą ścieżynę
i wśród nocy jasność gwiezdną.
Ametyst ci spokój wróży,
długie lata na szczęśliwo,
nic nie zmąci ich, nie zburzy,
chwalebny cię czeka żywot.

TURMALIN

Jest wróżebny na pierwszą połowę marca dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Gdy chcesz szaleć do obłędu,
bez pamięci, bez wytchnienia,
zanim lata cię oprzędą
pajęczyną umęczenia —
wciąż zielony noś turmalin,
a zdwoi się żar miłości,
płonąc coraz doskonalej
aż do późnych dni starości.
Ale wiedz, że, gdy twe szały
kogokolwiek krzywdzić będą,
turmalinu fluid cały
zwróci się przeciw twym błędom.



KRWAWNIK

Jest wróżebny na drugą połowę marca dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Na krwawniku ten coś wskóra,
kto żołnierskie ma rzemiosło
i przy tym nie byle ciura,
lecz ambicję ma wyniosłą.
Wielkiej mu przysporzą sławy
moce, w tym kamieniu skryte,
w życiu uciech i zabawy
i dzbanów, co będą spite.
A więc noście go, rycerze,
lecz ci, co w swym sercu prawi,
bo gdy nie jest cnót probierzem,
marną duszę wykoszlawi.

HIACYNT

Jest wróżebny na pierwszą połowę kwietnia dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Gdy hiacynt masz w pierścieniu,
nigdy cię nie spotka zdrada,
rozpoznasz ją w oka mgnieniu
nawet, gdy się cień jej skrada.
Nie pokrzywdzi cię obłuda
fałszywych przyjaciół sfory,
żaden wybieg się nie uda,
bo nie będziesz im zbyt skory.
Dar ten — wierny twój towarzysz —
poprowadzi cię do celu,
spełni się to, o czym marzysz,
noś hiacynt, przyjacielu.



SZAFIR

Jest wróżebny na drugą połowę kwietnia dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Zdobiąc górnie czoło dumne,
myśl twa stanie się skrzydlatą;
pośród ludzkiej ciżby szumnej
nie będziesz, jak nikły atom.
Sięgniesz w szczyty jej potęgą
ku wyżynom wielkiej chwały,
kędy słońce złotą wstęgą
opromieni ideały.
I uznanie zyskasz świata
i powagę, i szacunek
od młodu po stare lata,
lecz noś szafir — to warunek.

DIAMENT

Jest wróżebny na pierwszą połowę maja dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

W upojenie, w szczęście, w radość
i w kochania szał i zamęt
po królewsku, hojnie, zadość
wyposaży się diament.
Wielki cud ci się dokona,
marzeń spełni się obiata,
bo otulą cię ramiona,
najpiękniejsze z ramion świata.
Wróżba jego niezawodna,
stara, tak jak światy stare,
noś go więc, a spijesz do dna
niebiańską miłości czarę.



BERYL

Jest wróżebny na drugą połowę maja dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

W wonnym sadzie twojej duszy
kwiat kochania ci wyrośnie,
żaden kąkol go nie zgłuszy,
słońce kradnąć mu zazdrośnie.
I w pogodę ducha zbrojny
jasną pójdziesz w przyszłość drogą,
wesół, szczęśliw i spokojny,
nie poddając serca trwogom.
Więc z berylem wejdź w przymierze
i w przyjaźni trwaj zażyle,
życie w piękno ci ubierze,
gdyż radości wróży tyle.

TURKUS

Jest wróżebny na pierwszą połowę czerwca dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

W sprawach, jeśli są związane
z dokumentem czy papierem,
turkus świetnym talizmanem,
by nie skończyć żadnej zerem.
Choć nie jesteś na grosz łasy,
mieć go będziesz pod dostatkiem,
wypełni się wnętrze kasy
własną pracą albo spadkiem.
Lecz go w złoto nie oprawiaj,
choć wygląda okazale,
bo naopak wszystko stawia
i psie figle płata stale.

GRANAT

Jest wróżebny na drugą połowę czerwca dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Granat duszę zdoskonala,
trwać nie dając w fałszów błędzie,
kłamstwo ust twoich nie skala,
blaskiem prawdy jaśnieć będziesz.
Kroczyć prosto, niezawile
pośród życia twardej drogi
oto wielki zeń przywilej
i lek pewny na los srogi.
Noś więc ten szlachetny kamień
i w szacownej miej estymie,
uchroni cię od omamień,
chwałę ściągnie na twe imię.



SARDONIKS

Jest wróżebny na pierwszą połowę lipca dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Chcesz się żenić czy wyjść zamąż,
by miłością poić serce,
samym nie być czy też samą,
w tęsknot trwając poniewierce —
w sardoniksy palce ubierz
czy nawet je noś w kieszeni,
a zwycięsko przebrniesz rubież,
i los twój się wnet odmieni,
bo sardoniks wróży miłość
i ściąga jej cudów ptaka,
chociaż strzeż się, by zawiłość
nie wypadła ci stąd jaka.

TOPAZ

Jest wróżebny na drugą połowę lipca dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Kogo nazwiesz przyjacielem,
ten nie stanie się przecherą,
nie będziesz ich miał zbyt wiele,
ale zato przyjaźń szczerą.
Wnet się poznasz na obłudzie,
fałsz nie olśni cię swym błyskiem,
i nie zbłądzisz, choć po grudzie
szedłbyś czy po gruncie śliskim.
I nie znając nigdy zdrady,
do późnego dotrwasz wieku,
żywej pełen zawsze swady,
z duszą jasną, niedaleką.

NA ROK 1947
SZLACHETNYCH KAMIENI



SZMARAGD

Jest wróżebny na pierwszą połowę sierpnia dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Gdy nie chcesz, abyś, jak szarak,
bez miłości szedł przez życie,
noś w pierścieniu swoim szmaragd,
a nagrodzi cię sowicie.
W rytm ci dźwięknie inne serce
i dośpiewa pieśń do pieśni,
ślubne ujrzysz wnet kobierce,
szczęścia sen się urzeczywistni.
I rodzinnych uciech radość
tak, jak słońce, ci zaświeci,
miłości się stanie zadość:
dzieci, dzieci, mnóstwo dzieci...

JASPIS

Jest wróżebny na drugą połowę sierpnia dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Starą panną nie chcesz zostać
albo starym kawalerem,
nęci cię małżeńska postać
z uczuciem miłości szczerym —
jaspis ziści twe pragnienie,
sercu serca się oddźwiękną,
samotności pierzchną cienie,
które mącą życia piękno —
ale go z wieczora nie kładź,
ani także, gdyś w podróży,
by moc jego nie urzekła-ć
i na opak nie wywróżył.



OPAL

Jest wróżebny na pierwszą połowę września dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Przed ułudą i mirażem
zwodnych marzeń cię ochroni
i do szczęścia drogę wskaże,
gdy za nim będziesz w pogoni.
Wytrwałości mnożąc siły,
nie da zaznać zniechęcenia,
życie ci uczyni miłym,
bez goryczy i zwątpienia.
Lecz noszony niewłaściwie
do moralnej popchnie nędzy,
krzywdzić po nim cię straszliwie,
rzuć go wtedy jak najprędzej.

AGAT

Jest wróżebny na drugą połowę września dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Temu łatwiej trzos zadzwoni,
komu los się sprzągł z agatem,
złota mu nie zbraknie w dłoni,
każdy druhem mu i bratem.
Za uciechą gonić będzie,
a uciecha pójdzie za nim,
rozweseli wszystko wszędzie,
smutkiem serca nie porani.
I szczęśliwy aż do końca
przeżyje swój żywot długi
wśród promiennych blasków słońca,
bez jesiennych dni szarugi.

KOCIE OKO

Jest wróżebne na pierwszą połowę października dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Gdy z amantem czy z amantką
chcesz, choćby raz tylko w życiu
słodką się upoić „randką",
w tajemniczym gdzieś ukryciu —
bierz ze sobą oko kocie,
tylko milczkiem i z ostrożna —
ale pomnij, byś po drodze
nie spojrzał nań choć z ukradka,
zawiedziesz się bowiem srodze:
przyjdzie ojciec albo matka.

PERŁA

Jest wróżebna na drugą połowę października dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Perła życie ci przedłuży,
na zdrowiu nie doznasz szwanku,
i nie będziesz dni swych murzyn,
harujący od poranku.
Bo ze zdrowiem pójdzie w parze
trzos niepusty i dostatek.
A więc pakt zawieraj z perłą
i nie wierz, że wróży łzy ci,
w niej jest szczęścia twego berło
i radości zdrój, co syci...



ONYKS

Jest wróżebny na pierwszą połowę listopada dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Miłość chwyć za złote skrzydła,
gdy kierować chcesz jej lotem,
bo uwikła cię w swe sidła
i zgotuje ci golgotę.
Onyks na to lekiem będzie,
byś nie poddał się w jej jasyr
i z kart życia ciągnął wszędzie
nieprzerwane szczęścia passy.
Zwłaszcza, gdy oprawny w srebrze,
potęguje swoje władze,
kto go nosi tak, nie żebrze
o uczucie — ma je w darze.



KORAL

Jest wróżebny na drugą połowę listopada dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Jeśliś skory jest czy skora
w swym serdecznym uniesieniu,
noś ze sobą zawsze koral,
w złotym oprawny pierścieniu.
W sidłach ślepej namiętności
nie przekroczysz nigdy granic,
i sztyletem zawiłości
żadna miłość cię nie zrani.
Koral zawsze cię uchroni
od przygody, gdy zawodna,
i prawe ci serce skłoni,
gdy pierś będzie uczuć głodna.

KAMIEŃ KSIĘŻYCOWY

Jest wróżebny na pierwszą połowę grudnia dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Od młodzieńczych lat zarania
najcudniejszą baśń omamień,
tęsknot czar i wdzięk kochania
Księżycowy wróży kamień.
Lecz nie wprawiaj go w pierścienie
bo ci piękną wróżbę zboczy,
i na ckliwe rozkwilenie
każdą miłość przeistoczy.
Noś go luzem, bez oprawy,
a najwięcej z siebie da ci,
w szał uciechy i zabawy
dni twych pasmo ubogaci.

AKWAMARYNA

Jest wróżebna na drugą połowę grudnia dla wszystkich. Dla urodzonych w takim czasie przez cały rok.

Spędzać będzie z czoła chmury
i łez rosę spijać z oczu,
nie nastanie dzień ponury,
jędze smutku się nie stłoczą.
Duszy twojej jasny lazur,
pełen wdzięku i urody,
nie zatraci nic z wyrazu
swej radości i pogody.
I sprzyjać ci będzie szczęście,
stając się twym wiernym drużbą,
a ożenek czy zamęście —
to i to pod dobrą wróżbą.

Włodzimierz Słobodnik

PRZYSZŁA KOZA DO WOZA

Był sobie wóz i była koza.
Mówiła koza tak do woza:
„Skrzypiący wozie, lichy wozie,
Musisz się pierwszy kłaniać kozie,
Bo jeśli nie uczynisz tego,
Już nie zobaczysz mnie, kolego!
Ani w wozowni, ni na dworze
Nigdy wizyty ci nie złożę!"
Wóz odparł na to kozie krótko:
„Idź sobie precz, paniusiu z bródką,
Bo ja inaczej o tym myślę!"
To rzekłszy, dumnie zadarł dyszle.
Potem skrzypnąwszy: „Bywaj zdrowa!"
Odjechał wóz do Kapustowa.
Rządził tam król Kapusta Szósty,
Władca, co głowę miał z kapusty.
Każdy dworzanin i poddany
W tym państwie łeb miał kapuściany.
Pan kucharz z ochmistrzynią tłustą
Naładowali wóz kapustą
I wóz odjechał z Kapustowa
W rodzinne strony do Krakowa.
Gdy go ujrzała dumna koza,
Jęła się kręcić koło woza
I rzekła: „Dobry panie wozie,
Nieco kapustki daj dziś kozie.
Spotka cię za to wielka chwała,
Będę ę pierwsza ci kłaniała".
A wóz jej na to: „Ach, do woza
Jak zawsze, w końcu przyszła koza!".

Koronki WENECKIE

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
z cyklu „Nowele włoskie"
odcinek drugi

(dalszy ciąg)

Dlaczego pan tak długo nie wychodził? — zawołał. — Zaniepokoiłem się.

— Oczywiście skręciłem na lewo i wlazłem w kanał.

— Ajajaj! — zawołał Sosnowski — no, i co?

— Nic. Mam mokre buty.

— No, chwała Bogu. Z tym wyjściem tutaj to zawsze są kawały. Zdarzały się już różne biedy. A Schultzowie ze skąpstwa nie chcą zafundować latarni.

— Do widzenia panu.

— Do widzenia. Jutro o 11-ej, koło kościoła Frari!

— Dobrze, od strony San Rocco! Niech pan pamięta.

Vaporetto nadszedł i pojechałem do swojego hotelu.

Znowu wyciągnąłem papiery z kuferka. Nie pisałem już jednak tego wieczoru i niedobrze spałem w nocy. W sennych widzeniach mieszały mi się sceny z mojej powieści z pewną historią młodości. Zapomniane sprawy wracały z dziwacznym uporem przed oczy — i wszystkie umarłe czasy i wszyscy umarli ludzie. Bo Zosia umarła także, i to bardzo dawno. Nie wiem dokładnie, jakie były okoliczności jej przedwczesnego zgonu. Jedno tylko pamiętałem, że umarła w Wenecji.

Śniła mi się teraz pomieszana z postacią bohaterki, którą musiałem wymyślić, a której nie mogłem sobie wyobrazić. Wiedziałem, że jest dobra i ładna — a teraz mi się wyśniła jako ciemna brunetka z niebieskimi oczami. Obudziłem się znowu i zapaliłem światło. Patrzyłem na stos arkuszy, który się piętrzył na biurku. Chciało mi się ująć pióro, tęskniłem po prostu do mechanicznego procesu stawiania czarnych liter na białym tle. Ale z chwilą przebudzenia znowu znikły w mojej pamięci rysy dawnej przyjaciółki, które już się identyfikowały z rysami fikcyjnej kobiety. Taki brak plastyki wizualnej staje się męką nie do zniesienia. Począłem się obawiać że książka moja nie posunie się ani na krok do szczęśliwego końca, o ile nie przytrzymam niknącego obrazu Zosi, o ile nie ujmę jej za obie ręce i nie spojrzę głęboko w jej niebieskie oczy.

W tej chwili wydawało mi się, że dlatego nie mogę sobie jej przypomnieć, iż ukrywała się przede mną ze smutku. Przez tak długie lata nie pamiętałem o niej, nie wspominałem jej, może nie chciałem sobie przypomnać! A może właśnie cała moja podróż do Wenecji wynikała tylko z chęci przypomnienia sobie tej postaci? Z chęci odnalezienia najdrobniejszego jej śladu na ziemi — nikłego śladu stopy na weneckich kamieniach? Wszak tutaj umarła.

Nawet kiedy się jest nie bardzo starym, a i bez względu na kataklizmy wstrząsające bytem ludzkości, zadziwiająca się wydaje liczba istnień, które opadają jak liście niepotrzebne roślinie, wzbijającej się w górę. Istnienia młode, które nagle gasną bez powodu i bez śladu. Pamięć o nich życie czas jakiś, wreszcie ginie wraz z nami— i nic już więcej nie pozostaje. Na cmentarzach czasem napisy — ale i one się zacierają. Ani nazwiska tych osób, ani rodziny, ani przedmiotu przez nie stworzonego — czasem tylko taka fotografia. Ale i ją spalą usilni w sprawie robienia porządków spadkobiercy — i zgaśnie w ogniu ostatni cień istnienia. Mój Boże, sprawa zwyczajna, ludzka, którą trzeba traktować z wyrozumieniem, ale mnie wtedy w Wenecji długo nie dała zasnąć, aż przypomniałem sobie, a właściwie mówiąc opowiedziałem sobie po kolei wszystko, co o Zosi pamiętałem. Niewiele tego było — ale może dla mnie dużo?

Poznałem Zosię w wielkim ukraińskim domu w Szapijowie. Przyjechałem tam jako korepetytor jaśnie panicza, który wraz z matką przybył do tego domu w odwiedziny. Ona była miejscową nauczycielką przy miłej, ale brzydkiej hrabiance. Wtedy mi się zdawało, że była ode mnie dużo młodsza W rzeczywistości była młodsza o jakie trzy, cztery lata, ale w tym wieku wydaje się to wielką różnicą. Ja byłem już wtedy przy końcu uniwersytetu, ona — skończyła zaledwie warszawską pensję. Oboje tkwiliśmy w środowisku nawet sympatycznych ludzi, z którymi jednak nic nas nie łączyło i łączyć nie mogło. Dla tych ludzi, którzy znali zamknięte kółka magnatów kresowych, jasne będzie, że i ubogi student i panna z warszawskiej mieszczańskiej rodziny czuli się tam obco. Mimo woli musieliśmy zadowolnić się własnym towarzystwem i po skończonych lekcjach i równie długich i nudnych obiadach i kolacjach, dążyliśmy ku sobie, aby się wreszcie prawdziwie i po ludzku nagadać.

Na sztucznym tle wspaniałego domu, wśród empirowych mebli i purpurowych dywanów, które mnie drażniły wówczas jak czerwone płachty młodego byka, „panna Zosia" śmieszyła nieco. Drażniła mnie trochę swoimi małomieszczańskimi manierami, warszawskimi fiokami, pewną egzageracją, która ją różniła od prawdziwych hrabskich elegancji. Zwłaszcza irytowała mnie jej nieporadna nieznajomość realiów ukraińskiego życia, zdziwienie wobec kresowych obyczajów i nieznajomość owego pysznego grand train, jakim się ten dwór odznaczał nawet wśród innych ukraińskich dworów. Mój uczeń dokuczał bardzo swojej kuzynce i jej nauczycielce, a kiedy mu czyniłem o to zarzuty, powiedział najpoważniej w świecie:

— Cóż to za nauczycielka, proszę pana. Ona nie odróżnia wiśni od czereśni!

Ale wieczorami, kiedy już wszyscy szli spać, albo kiedy nazjeżdżało się dużo gości i salony pałacu lśniły jasnymi lampami, spotykaliśmy się w małym szarym saloniku, z którego drzwi prowadziły do jej pokoju, i tam przed drzwiami sypialni siedzieliśmy nieraz po parę godzin, komentując zdarzenia dnia albo mówiąc o sobie. Siadywaliśmy w tym saloniku nieraz bez światła, otworzywszy okno i patrząc na drzewa w parku, poruszane lekkim wiatrem. Przyznam się, że traktowałem „pannę Zofię" z góry i przemówienia moje do niej nosiły raczej charakter pouczeń. Żartując z jej naiwności, tłumaczyłem jej, że całkiem bezbronnie wchodzi w życie, o czym — jak mi się wydawało — miałem dokładne pojęcie, i ostrzegałem ją przed wszelkimi zasadzkami, o których naczytałem się w rozmaitych książkach. Jak sam dzisiaj widzę, byłem wówczas bardzo naiwny i nawet domyślam się, że Zosia w swoich dwudziestu latach miała więcej doświadczenia niż ja w moich dwudziestu czterech.

Pamiętam, siedzieliśmy kiedyś w tym szarym saloniku, zdaleka od siebie, po dwóch stronach mahoniowego stołu, którego blat odbijał niepewny blask nocy. Powietrze ciężkie od słodyczy wdzierało się do pokoju. Światło zodiakalne świeciło prawie do północy, udzielając atmosferze tajemniczego płowego cienia, który jest tylko właściwy letnim nocom na południu.

Nie pamiętam szczegółów tej rozmowy, ale jej ogólny nastrój, a zwłaszcza tę nieoczekiwaną okoliczność, że moje półgębkiem mówione nauki moralne stworzyły w Zosi dla mnie pewnego rodzaju szacunek. Uważała mnie za „kogoś" i poczynała się radzić w sprawach życiowych, jak gdyby rzeczywiście moje doświadczenie było zasobnym skarbcem. Ze wszystkiego co mi wówczas mówiła wynikało, że miała do mnie głębokie zaufanie — nie jako



W tydzień po przyjeździe był on już stałym gościem naszego saloniku

do młodego człowieka, co wówczas uważałbym za pochlebniejsze, ale jako do człowieka w ogóle. Rozmowa ta stała się momentem przełomowym w naszym stosunku i początkiem krótkiej przyjaźni, która wyraziła się naprzód w bardzo długich rozmowach, dopóki bawiliśmy pod jednym dachem, a potem w nieskończonej ilości listów, które krążyły pomiędzy Warszawą, gdzie mieszkała ona, a Kijowem, gdzie przebywałem ja.

Mieszkanie moje w pałacu mieściło się w jednej z bocznych wieżyczek i składało się z okrągłego pokoiku i położonej za nim łazienki. Oprócz tego w wieżyczce znajdował się jeszcze jeden pokój, położony nad moim i do którego prowadziły kręcone schodki. W końcu sierpnia zjazd gości był olbrzymi i jednego z nowoprzybyłych młodzieńców umieszczono w pokoju nade mną. Młody człowiek ten, przechodząc co wieczora przez mój pokój, korzystając ze wspólnej łazienki, schodząc z rana — a wstawał nawet wcześniej ode mnie — stykał się wciąż ze mną i powoli zaczęliśmy z nim rozmawiać nie tylko o pogodzie lub o nowych gościach. Wydał mi się bardzo nieśmiały i jak gdyby trochę niewypierzony, pomimo iż był w moim wieku. Miał nie tylko niezgrabne poruszenia — ale nawet pewne odruchy w rozmowie świadczyły o tym, że nie umiał okazywać swoich uczuć. Wszelka serdeczność wydawała mu się obca i w momentach kiedy chciał okazać mi pewne zainteresowanie, formułował swe zdania w ten sposób, że gdybym intuicyjnie nie odczuwał jego intencyj, mógłbym się obrazić. Posiadał w najwyższym stopniu ową właściwą ludziom dobrze wychowanym cechę, że ich nieśmiałość lub zażenowanie przybiera formy impertynencji.

Był to właśnie Oswald Sosnowski. Był krewnym pani domu — ale widocznie nudził się jak pies w studni, gdyż nie grał w karty, nie polował, a tenisistą, pomimo angielskiego wykształcenia, był nader słabym. Po kilku dniach widać było, że poczyna uciekać od swojego towarzystwa i że poszukuje wyraźnie mnie i mojej nowej przyjaciółki. Toteż w tydzień po przyjeździe był on już stałym gościem szarego saloniku i przesiadywał razem z nami prawie do świtu. Przypuszczam, że nasze rozmowy prowadzone tak długo w noc musiały się bardzo ujemnie odbijać na lekcjach, któreśmy udzielali naszej młodzieży — ale w tym momencie nic nas nie obchodziło. Stopniowo utworzył się wyraźny triumwirat, stroniący od ogólnych zabaw, a urządzający sobie własne spacery, wycieczki i przyjemności. Oswald, opierając się na swym uprzywilejowanym stanowisku, rozpoczął akcję zmierzającą do równouprawnienia nas w domu z resztą gości i do wysunięcia nas na plan pierwszy, jeżeli chodziło o jakieś zabawy, w które choć trochę trzeba było włożyć zainteresowań intelektualnych.

Tak sprawy stały w momencie, kiedy miał się odbyć w pałacu wieczór, na który zaproszono całe sąsiedztwo, nie wyłączając mniej nobliwych członków społeczeństwa. Bal miał poprzedzić koncert, na którym Zosia miała deklamować „W Szwajcarii", a ja miałem grać na fortepianie.

Przygotowania do tego balu zajmowały nas bardzo, a Zosia radziła się mnie wielokrotnie co do fragmentów, które trzeba było wybrać. — umiała całe „W Szwajcarii" na pamięć — i nawet zasięgała mojej rady co do toalety. Wśród zaproszonych gości znajdowała się także rodzina doktora z miejscowego miasteczka. Sam doktór, wesoły brodaty człowieczek, był osobistością bardzo popularną i często przyjmowaną w pałacu, ponieważ — jak twierdziła legenda — był naturalnym bratem hrabiego, właściciela pałacu. Na bal przybył wraz z żoną i jej bratem, znanym warszawskim ekonomistą.

Przypomniałem sobie Zosię w białej sukni stojącą na estradzie i mówiącą cichym na razie głosem strofy poematu. W miarę jak się zapalała, głos jej się podnosił, poczynał dominować nad salą i dźwięczał podobny do śpiewu skowronka, coraz wyżej wznoszącego się nad polem. Nie powinien, aby ta deklamacja była piękna, ani tym bardziej uczona; ale jednakże coś w samej postawie Zosi, w błysku jej oczu, w westchnieniu, z jakim zakończyła wypowiadany fragment, a w którym był żal za uciekającą jak gdyby poezją — poddało jej czarowi całą salę. Potem przy kolacji à petites tables siedzieliśmy we trójkę z Oswaldem. Pod koniec nagle przysiadł się do nas ów brat doktorowej, profesor Zalwat i począł Zosi prawić komplementa, takie jakieś nieprzyjemne w swojej zaokrąglonej formie, że mnie diabli brali. Oswald podzielał moją wściekłość, ale cóż było na to poradzić? Trzeba było przyjmować za dobrą monetę życzliwość starego uczonego. Wydawał się nam stary, był bowiem po czterdziestce.

Pamiętny to wieczór. Noc była jasna, kiedy staliśmy na tarasie w pałacu szapijowskim i patrzyliśmy na staw, położony w dole. Wszystko tu było skazane na zagładę, a my jak gdyby odczuwając kruchość tego pięknego otoczenia, nietrwałość delikatnych uczuć, jakie snuły się pomiędzy nami, wiążąc nas jak gdyby girlandami letnich kwiatów — uczuliśmy jak grające w nas serca wznoszą się o pół tonu w górę. Modulacja ta, połączona z zapachem floksów, z brzękiem instrumentów, grających walca z „Manewrów jesiennych", wycisnęła prawie łzy z moich oczu. Wracałem wielokrotnie do tego momentu, odtwarzając go w moich powieściach, ale zawsze usuwałem z niego Zosię, zapodziewała mi się gdzieś w tych chwilach, kiedy przypominałem sobie zapach letnich roślin, błysk stawu w dole i uścisk dłoni Oswalda, który rozmarzony muzyką, szampanem, nocą, niezgrabnie usiłował być serdecznym. I profesor był z nami, ale o nim także zapomniałem — ale to z innych powodów. Krążył wkoło nas jak nietoperz, cicho przesuwając się z miejsca na miejsce, przytulając się do kolumn, trzymając się cienia ustawionych na tarasie cyprysów i pomarańcz. Mówił do nas i za nas—i milczał widząc, iż nas wspomnienie wierszy Słowackiego rozmarza, — że lękamy się samych siebie, że przeczucia naszej młodości zaczynają się zbijać w konkretne gruzły, które z trudnością przechodzą przez klapy naszych serc.

Była to chwila „niezapomniana", a przecież o tym wszystkim zapomniałem! Przebacz Zosiu, ale byłem taki młody.

Ach, tak, i był jeszcze tego wieczora spacer po wodzie. Nie pamiętam go już dokładnie. Zlał mi się we wspomnieniu z tyloma innymi spacerami — tylko pamiętam, że doktór Zalwat dokuczał Zosi promienistymi słowami poematu: —

> ...bo ona była jak wodne boginie,
> Miała powozy z delfinów, z gołębi
> I kryształowe pałace na głębi
> I księżycowe korony w noc ciemną...

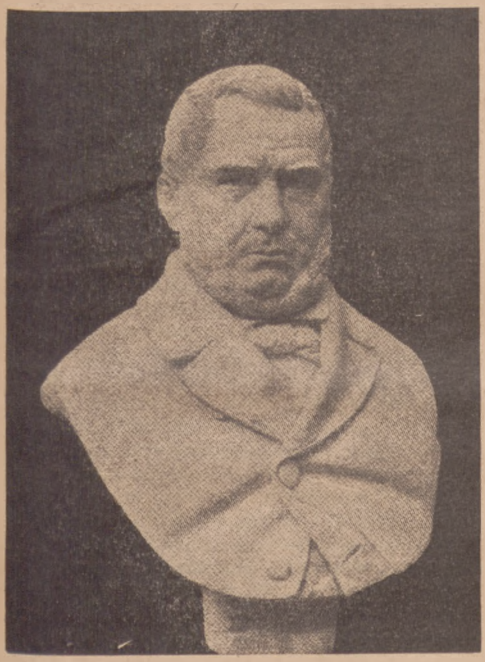
A potem wszystko się urwało: Oswald wyjechał na trzeci dzień po balu, bardzo zresztą serdeczny. Moja prycypałka także zebrała się już do odwrotu. Przyjaźń moja z Zosią przerzuciła się w sferę korespondencji. Rozstawszy się, poczęliśmy wymieniać z sobą listy, setki listów w ciągu dwóch lat. I rzeczywiście stało się jak przeczuwałem. Ja zamykałem się w wieży z kości słoniowej, Zosia powoli wchodziła w życie. I tak trwało przez czas długi, wreszcie się skończyło.

Formalnego zerwania naszej przyjaźni nie było. Ale wymiana listów przerwała się nagle oto w jakich okolicznościach.

(dalszy ciąg w nast. numerze)

Władysław Dzwonkowski prof. Uniw. Łódzkiego

GENEZA POWSTANIA STYCZNIOWEGO



Margrabia Wielopolski

Nam, którzyśmy przeżyli powstanie warszawskie 1944 roku i silimy się odgadnąć, czyja prowokacja sforsowała nam rękę w tej bezmyślnej imprezie, komu zależało na śmierci paruset tysięcy najwartościowszej młodzieży naszej, nasuwa się mimowoli analogia tego zjawiska z powstaniem 1863—4 roku, którego rocznica 84-ta przypada w noc styczniową z 22-go na 23. Ostatnie powstanie było naszą nocą św. Bartłomieja w grodzie zygmuntowym, tamto taką samą nocą krwi i łez w lasach i na bezdrożach Polski zaboru rosyjskiego. Jedno i drugie było przeprowadzone z liczeniem siły na zamiary, a nie zamiarów wedle sił, obydwa zaś beznadziejnie poczęte, bez żadnych szans na zwycięstwo, z obiektywną pewnością nieuniknionej zagłady i takiego upustu krwi, że tamto na całe pokolenie przekształciło zabór rosyjski w dom nieutulonej żałoby. Dlatego warto na chwilę zamyślić się, jaka była geneza tamtej tragedii?

Sięga ona daleko, bo aż do niefortunnego płodu tak czczonej skądinąd kościuszkowskiej myśli, ogłoszonego w r. 1800 pt. „Jak Polacy mogą wybić się na niepodległość?", a zrodzonego z krzyżujących się wpływów rozgoryczenia i żalu po klęsce maciejowickiej i wymuszonej koniecznością uwolnienia 12000 jeńców wiążącej przysięgi petersburskiej oraz z przeżytej i ocenianej doświadczalnie potęgi rozpętanego żywiołu ludowego w rewolucji amerykańskiej i francuskiej, a bez należytego dyskontowania odmiennych warunków geograficznych, gospodarczych, finansowych i kulturalnych. Cel przyświecał mu ten, aby nie oczekując żadnej pomocy od obcych i w samej tylko sile wewnętrznej szukając oparcia, podjąć niezwłocznie przygotowawcze kroki do powszechnego powstania na trzy fronty, aby odzyskać utraconą niepodległość i to w granicach r. 1772, czyli z przed pierwszego rozbioru. We własnych siłach odwadze i męstwie szukać należy zbawienia. Nowe powstanie wystawiane było przy tym jako rzecz konieczna, łatwa i pewna. Stawiano za przykład Szwajcarów, Holendrów, Amerykanów, — ludy wówczas nieliczne, a tu Polska przedrozbiorowa, 16 milionów licząca.

Należy stworzyć własną taktykę małej wojny tj. rozrywać na części nieprzyjaciela a nie dopuszczać doń żywności. Należy w tysiącu punktach jednocześnie powstać. Sama natura wskazuje nam jako schroniska niezdobyte nasze lasy oraz polne fortyfikacje. W lesie cóż zrobi artyleria? A Polak z kosą i strzelbą przedrze się wszędzie przez bagna i zagajniki.

Podobną teorię głosił główny ideolog okresu międzypowstaniowego (1842—1866) Henryk Kamieński (pseudonim Filaret Prawdowski), autor „Prawd żywotnych narodu polskiego" i „Katechizmu Demokratycznego", który to samo zatrute ziarno wciska wśród wielu prawd świętych. „Przyczyną naszego upadku — ucisk ludu". Niewolnik bowiem nie zna Ojczyzny. Upadliśmy, albowiem nie umieliśmy całego ludu z uśpienia przebudzić. „Upadek nasz nie jest stanowczą Polski zagładą, ale upadkiem chwilowym, z którego musimy się podnieść, nie jest jej śmiercią, ale przemijającą chorobą". „Przyczyny upadku narodu w nim samym leżą, nie zaś w okolicznościach zewnętrznych". „Równym niepodobieństwem jest naród zapalony do utrzymania swej niepodległości podbić jak utrzymać go w jarzmie, skoro zdoła wyrobić i rozpowszechnić zapał miłości ojczyzny". Tylko podbój duchowy ma wpływ i znaczenie, ale takiego podboju nikt nie jest w stanie nad nami dokonać. Porwać lud można przez rewolucję społeczną, przez co rozumie autor uwłaszczenie ludu.

Kamieński, Dembowski, Ściegienny stali na czele „niecierpliwych", którzy parli do natychmiastowego wybuchu, wierząc święcie w to, że wystarczy przystawić lont, ażeby cały kraj rozgorzał z żywiołowym powstaniem. Zaś zwlekanie prowadzi tylko do aresztów i męczeństwa.

I cała ta gorączka bez rachuby zakończyła się śmiercią Dembowskiego pod Krakowem i bezmyślnym wypadem Pantelejmona Potockiego na kasyno garnizonowe w Siedlcach.

• • •

W Warszawie uniwersytet był zwinięty po powstaniu listopadowym, i młodzież nasza kształcić się musiała w uniwersytetach rosyjskich, zwłaszcza w Kijowie, Moskwie, Petersburgu; w niektórych z nich stanowiła większość nawet i dominowała nad rosyjską. Wśród tej młodzieży rozwijały się organizacje tajne, a od czasów wojny krymskiej liczna „konspiracja trójek". Najpoważniejszym z tych kół było założone w r. 1858 w Petersburgu kółko oficerów Polaków z Akademii Sztabu, Artylerii i Inżynierii do którego dopuszczono również kilku studentów uniwersytetu i urzędników z Józefem Ohryzką. Założycielem jego był pono Zygmunt Sierakowski, kapitan sztabu generalnego i wykładowca Akademii Sztabu, później adiutant wiceministra wojny Milutina, reformatora armii rosyjskiej. Gdy Jarosław Dąbrowski, po 4-letniej kampanii kaukaskiej z Szamilem przybył nad Newę i w r. 1859 wstąpił do Akademii, aby ją skończyć po dwóch latach w stopniu sztabs-kapitana sztabu, kółko to zbierało się w jego mieszkaniu przy ulicy Oficerskiej pod pretekstem wieczorów literackich. Wśród tego grona powstała myśl wydawania pisma polskiego w Petersburgu, którego założycielem był właśnie Józefat Ohryzko, urzędnik Ministerstwa Domen. Pismo to pt. „Słowo" zaczęło wychodzić w końcu r. 1858; otrzymało ono ostrzeżenie cenzury za wydrukowanie listu Lelewela do prof. Czajkowskiego a następnie zawieszono je na żądanie namiestnika ks. Gorczakowa z Warszawy za poruszenie sprawy żydowskiej. Dziwnym trafem w tym nielicznym kółku spotykamy wielu głównych następnie przywódców powstania: prócz Sierakowskiego, Dąbrowskiego był tam Zygmunt Padlewski, Kruk-Heidenreich, Maksymilian Czerniak (Łado), Miładowski a prawdopodobnie i Traugutt. Cały przyszły sztab powstania. Odgłosy demonstracyj warszawskich i walki społeczeństwa polskiego z rządem odbijały się tu głośnym echem, napełniały oburzeniem. Ci ludzie rozjeżdżają się potem na wszystkie strony: Dąbrowski bierze w swoje dłonie ster w Warszawie, Sierakowski podąża za granicę dla nawiązania kontaktu z gen. Wysockim, Mierosławskim, Langiewiczem, Różyckim, Miłkowskim (Jeżem). Toteż dla mnie jest zupełnie oczywistym, że cały plan powstania in crudo opracowany został już wtedy w r. 1861 w Petersburgu w tym mieszkaniu na Oficerskiej.



Szewc — Hiszpański

Dąbrowski przybył do stolicy na początku r. 1862 (w styczniu czy w lutym) i odrazu wszedł do podwójnej roboty rewolucyjnej: cywilnej i wojskowej.

Powstańczy „Komitet Miejski" utworzyli w połowie października 1861 r. Apollo Korzeniowski z Ignacym Chmielewskim. Korzeniowski, obywatel z Wołynia, mówca i pisarz, człowiek starszy, lubił chodzić po wiejsku, w białej świtce i wysokiej baraniej czapce. Po jego aresztowaniu i wywiezieniu miejsce jego zajął w komitecie Jarosław Dąbrowski.

Niestety już w początkach maja spisek został zdradzony i większość oficerów oraz dwóch żołnierzy aresztowano. Ten spisek wojskowy nasuwający widmo dekabrystów, przeraził cesarza i wpłynął na złagodzenie w Polsce kursu. Ale przeraził również bardziej umiarkowane polskie koła rewolucyjne.

Powstał „Komitet Centralny Czerwcowy", z którego ustąpił niepoczytalny Chmielewski, zresztą sam nie chciał należeć, do takiej reakcji", ale pozostał Dąbrowski i wszedł drugi gorliwy rzecznik powstania, Szwarce.

Jarosław Dąbrowski, jako członek Centralnego Komitetu, mianowany został naczelnikiem miasta, a jednocześnie zarządzał wydziałem wojskowym, technicznym przygotowaniem do powstania i wraz z Potebnią prowadził rewolucyjną propagandę w armii. Pod jego wpływem Komitet, po przyłączeniu młodzieży akademickiej do organizacji, przygotowywał kadry powstańcze. W końcu maja Dąbrowski przedstawił jeszcze Komitetowi szczegółowy plan nagłego opanowania fortec rosyjskich w kraju przy pomocy pozostałej organizacji wojskowej, i wybuchu powstania w sierpniu 1862 r. Niestety ten człowiek, który najbardziej nadawał się na kierownika powstania, jeśli już było nieuniknione, został aresztowany 14 sierpnia 1862.

Tymczasem Chmielewski po wystąpieniu z Komitetu postanowił działać na własną rękę. Z jego inicjatywy a wbrew Komitetowi wykonano zamach na namiestnika W. Ks. Konstantego. Wkrótce potem Chmielewski opuścił Warszawę, aby raz jeszcze zabłysnąć na widowni jesienią 1863 r. i zorganizować zamach na Berga. Po powstaniu wyemigrował na zachód, i, zdaje się, zginął podczas walk komuny paryskiej, tak jak Dąbrowski.

Zamachy Rylla i Rzowcy na margrabiego aranżował sam Dąbrowski.

Po aresztowaniu Dąbrowskiego pracowali nad przygotowaniem powstania Bronisław Szwarce i Józef Narzymski, ludzie, którzy dążyli do powstania za wszelką cenę. Sprawami, które dolały oliwy do ognia i ostatecznie przechyliły szalę w najgorszą stronę, była brutalność i bezkompromisowość margrabiego: szczodrze szafowane wyroki śmierci i przeprowadzana branka do wojska. Tymczasem Szwarce został aresztowany przed samym wybuchem, w wilię Bożego Narodzenia. Decyzja w sprawie powstania przeszła w ręce ludzi małych i nieudolnych, Padlewskiego zaś przygniótł nadmiar zadań. I potoczyły się wypadki wedle tradycyjnych recept. Tymczasem atuty w tej grze stopniowo wypadały z rąk.

Rozpoczynaliśmy walkę z kosą i dubeltówką, bez żadnego karabinu z zagranicy. Jeżeli były, to zdobyczne.

Ale Sierakowski i Dąbrowski budowali na jeszcze jednym czynniku: na wierze w bratnią rewolucję rosyjską. Była to jednak sprawa jeszcze bardziej beznadziejna.

Od wojny krymskiej rosyjska inteligencja rewolucyjna staje się w znacznej mierze socjalistyczna. Ideologami jej byli Hercen, Czernyszewski i Dobrolubow. Ale lata 1856—61 były okresem nadziei w dobre zamiary rządu: W parę lat jednak inteligencja ta była rozczarowana: reforma rolna oszukała chłopa. W 1861 zjawia się pierwsza proklamacja rewolucyjna Michajłowa. Potem przyszedł szereg proklamacyj pierwszej „Ziemli i Woli" nawołujących lud do powstania.

„Ziemla i Wolia" była pierwszą rewolucyjną organizacją za Aleksandra II; powstała przy boku Czernyszewskiego i redakcji „Sowremiennika". Organizacja wydała kilkanaście proklamacji i dwa cienkie numery „Swobody" w lutym i lipcu 1863 roku. Celem było chłopskie powstanie. Program był bardzo umiarkowany i kompromisowy. Lewe elementy wzywały do walki z rządem i zwołania konstytuanty, większość ograniczała się do żądania ziemi dla chłopa. Rozdźwięki zwiększyły się po wybuchu powstania w Polsce, Komitet Naczelny uchylił się od wspierania powstania: że do takich zadań jeszcze nie dorósł. W komitetach dominowała niezrównoważona ucząca się młodzież, wielu kończyło swą karierę w Ochranie (Utin, Pantielejew). Agitowano głównie wśród inteligencji, nie wiedziano jak przystąpić do ludu. Świeżo upieczeni rewolucjoniści chwalili się, że mogą dokonać przewrotu państwowego, le



Romuald Traugutt.

obawiali się własnego cienia. Przed polskim powstaniem liberali i radykali rosyjscy urządzili wspólny bankiet z Polakami. Po bankiecie, pod dobrą datą, rzucano się sobie w objęcia gdy nagle rozległ się z ustronia wysoki falcet Czernyszewskiego: „nie wierzcie nam, my was oszukujemy!". Rozumiał, że rewolucja jeszcze niemożliwa, że brak rewolucyjnego ludu.

W tych warunkach wysłannik Rządu Narodowego Hieronim Kiniewicz i kap. sztabu gen. Maksymilian Czerniak podjęli w Kazaniu próbę zorganizowania rebelii na środkowym Powołżu. Sprawa była o tyle ułatwiona, że reforma rolna uwolniła od poddaństwa i nadzieliła ziemią chłopów w dobrach szlacheckich, w domenach zaś państwowych chłopi byli od dawna wolni i byli faktycznymi posiadaczami ziemi; teraz z 21 milionów akrów zabrano im 12 milionów, a z pozostałych kazano opłacać podniesione czynsze tytułem wykupu od dawna dzierżawionej przez nich ziemi. Były z tego powodu rozruchy, szczególnie w pobliskiej symbirskiej gubernii; byli zabici i więzienia były przepełnione. Kieniewicz porozumiał się z Centralnym Komitetem w Petersburgu, ale ten odniósł się negatywnie do przedsięwzięcia. Jedynie studenci kazańscy okazali pomoc. Wydrukowano i rozrzucono sfałszowany manifest carski, wzywający do tępienia obywateli ziemskich i zagarniania ich ziem. Czerniak wciągnął do spisku kilku oficerów Polaków, m. in. dzielnego kapitana Iwanickiego Napoleona Kazimierza, dowódcę kompanii ochockiego pułku piechoty, który stał z kompanią pod Kazaniem, w majątku ulubieńca cara, hr. Musin-Puszkina. Wskutek zdrady spisek został wykryty i spiskowcy aresztowani.

Timaszew, kazański gubernator, za wykrycie tego spisku mianowany został ministrem.

Trudno było wówczas masy poruszyć; wszak one nawet nie wiedziały, że ziemia jest okrągła, a wielu nie słyszało nigdy, że istnieje jakieś państwo na świecie poza Rosją (Pamiętnik Flerowskiego str. 226).



Powstaniec z Lubelskiego

Wojciech Bąk

POZNAŃ DZISIAJ

Będzie może najlepiej, jeśli w tym pierwszym felietonie o Poznaniu napiszę kilka słów o poznaniakach.

Każdy, kto po raz pierwszy jest w Poznaniu, jest zaskoczony odrębnością charakteru mieszkańców tego miasta. Zwykle tłumaczy on sobie tę różność wpływem zaborców. Tłumaczenie to jednak nie odpowiada słuszności. Wpływy zaborców nie były tutaj zbyt silne, choć oczywiście i one oddziaływały. Wystarczy jednak zaglądnąć do historyków, żeby zrozumieć, że odrębność Wielkopolan, a więc także poznaniaków, dostrzegano wyraźnie przed zaborami — w średniowieczu, w odrodzeniu, w ogóle w całej historii.

Zawsze Wielkopolanie byli surowsi, twardsi, lepiej zorganizowani, lepiej zagospodarowani i — smutniejsi. Szczep ten, pozbawiony lekkiego i uwodzącego wdzięku, polotu wyobraźni, dowcipu, odznaczał się zawsze realizmem, trzeźwością i dużymi zainteresowaniami intelektualnymi przy mniejszych artystycznych. Jest słuszne, że Wielkopolanin jest „nieefektowny"; jest słuszne, że przy pierwszym zetknięciu raczej robi wrażenie „odpychające". Nie należy się jednak dać złudzić tymi pozorami.

Poza nimi tkwi bowiem człowiek o wielkich zaletach — nie większych napewno i nie mniejszych niż zalety innych Polaków — lecz różnych od ich zalet.

Ta różność, jakże dobrze świadcząca o bogactwie narodowego charakteru polskiego, jest przyczyną najkomiczniejszych nieporozumień w życiu towarzyskim i społecznym „przybyszów". Początkowo są oni zupełnie zdezorientowani. Później naturalnym odruchem jest odruch niechęci. Nie należy jednak tego odruchu przeceniać, gdyż po pewnym czasie ustępuje on bardzo dobrej przyjaźni i wzajemnemu zaufaniu. Jest to prawie reguła. Ten tylko, kto krótki czas tutaj przebywał i właściwie nie zetknął się głębiej z ludnością tutejszą, zachowuje urazę i niechęć. Kto pewne nawyki w sobie przezwycięży, aklimatyzuje się tutaj bardzo dobrze i często staje się 150% „poznaniakiem". Możnaby na ten fakt przytoczyć liczne przykłady. Nieraz nawet dość humorystyczne.

Jeśliby więc można dać nie—poznańczykom radę, to dałbym następującą. Nie przejmujcie się, zetknąwszy się z poznańczykiem, że nie jest „czarujący", że wydaje się nieuprzejmym (jest on tylko zamknięty w sobie), że jest oszczędny i nie lubi gestów. Takim jest niewątpliwie. Ale w tych cechach nie wyczerpuje się bynajmniej jego charakterystyka. Jest on rzadziej, ale głębiej uczuciowym niż mieszkańcy innych dzielnic, jest lojalny, jest bardzo uspołeczniony i jest niewątpliwie gorącym patriotą, choć ten patriotyzm wyraża tak jak wszystkie uczucia zresztą chłodno, co wcale nie znaczy, że tak go odczuwa.

Uważam osobiście za bardzo dobry objaw fakt, że dużo studentów na tutejszym uniwersytecie pochodzi z Warszawy lub Lwowa. Sądzę, że pobyt ich tutaj może być dla nich bardzo pożyteczny, tak jak pożyteczny jest pobyt poznaniaków w innych środowiskach. I jedna i druga strona zyskuje bardzo wiele na takiej wymianie. Przede wszystkim oduczą się prowincjonalnie traktować zagadnienia regionalnych różnic, poza tym mogą sobie jedni przyswoić realizm życiowy, dyscyplinę większą obyczajową, drudzy zaś ogładę i zamiłowanie do spraw niekoniecznie dających się wymierzyć i zważyć. Całości narodu polskiego takie wzajemne przenikanie i zrozumienie może wyjść tylko na korzyść.

Szczególnie dzisiejsze czasy powinny stać się okresem nie naiwnych i bezpodstawnych sporów o wyimaginowanych wyższościach i niższościach, które wykazują tylko stęchły prowincjonalizm — ale jedności narodu w całej jego bogatej różnorodności. Doświadczenie historyczne wykazało, jak taka jedność uczuciowa jest konieczna dla istnienia całego narodu. Im zaś ta jedność jest bogatsza w podporządkowane jej różności, tym jest to szczęśliwsze.

Sądzę więc, że każdy Polak z radością przyjmie wiadomość, że tempo odbudowy Poznania nie ustępuje w niczym najlepszym wzorom zagranicznym. Minister Kwiatkowski podczas swego pobytu w Poznaniu wyraził się, że pragnąłby, aby Wybrzeże nasze odbudowało się w takim tempie jak Poznań. Powiedzenie to z ust twórcy Gdyni ma swoją przekonywującą dla każdego Polaka wagę i znaczenie.

Nie wątpię, że wiadomość tę przyjmą wszyscy w Polsce z zadowoleniem, gdyż świadczy ona, że w różnorodności typów ludzkich zamieszkujących Polskę i stanowiących naród polski nie brak typu konstruktywnego, mającego wyczulony stosunek do zagadnień cywilizacyjnych i technicznych.

Zwykle zarzucało się Polakom, że w tej dziedzinie wykazują zadziwiającą u tak zdolnego narodu niedbałość a nawet nieudolność.

Poznań wykazuje, że zarzut ten tylko częściowo jest słuszny. Jest również zapowiedzią, że można doskonale patriotyzm połączyć z codzienną konstrukcyjną pracą; w tym zakresie wzorować się na Poznaniu jest rzeczą dobrą i pożyteczną dla całego narodu.

O szczegółach rozbudowy pozwolę sobie napisać później.

Obecnie pozwolę sobie tylko tyle powiedzieć:

Kto przyjechał do Poznania po oswobodzeniu, niech wytrze sobie z pamięci obraz miasta. Wygląda ono dziś zupełnie inaczej. Oczywiście jeszcze ślady zniszczenia gdzie niegdzie występują wyraźnie (pamiętajmy, że Poznań był po Warszawie najwięcej zniszczonym miastem polskim), ale w większości są zatarte. Praca odbywająca się przy budynkach świadczy o tym, że i one powoli — ale w możliwie w naszych warunkach szybkim tempie — znikną.

SERBSKA POEZJA LUDOWA

Po upadku państwa zachodnio-rzymskiego, nad dolnym Dunajem aż po Bałkany osiedlili się w VII w. Serbowie i Kroaci, zakładając nowe królestwa. Przez długi czas wiodła Serbia krwawe wojny, bądź to z Bułgarami, bądź z Grekami, ulegając im po kolei, aż wreszcie w XI wieku odzyskała niepodległość i wzrosła do znacznej potęgi. Bitwa na Kosowym Polu w 1389 r., w której zwyciężył półksiężyc zadecydowała na długie wieki o utracie niepodległości Serbii. Z politycznym upadkiem kraju upadła też serbska literatura i długo głucho było nad Morawą. Tylko po klasztorach tliło życie umysłowe. Tak minęły wieki. Na koniec w. XVIII przerwał ciszę Gundulić (zmarł 1638 r.), pisząc „Osmana" — epiczny poemat w rodzaju Tassa, potem „Ariadę" i przerobił na dramaty przedmioty zaczerpnięte z greckich i rzymskich klasyków. Obok niego pojawili się inni pisarze: Palmotić (zmarł 1657), pisząc „Kristiadę", Kurnakowicz pisząc farsę p. t. „Egipcjanka", Munczetić — pieśni miłosne na wzór Petrarki.

Ruch narodowy, który w końcu XVIII w. ogarnął wszystkie ludy słowiańskie, spowodował też rozkwit serbskiej literatury. Wielkie zasługi położył tu Obradović (1742—1811) — pierwszy minister oświaty w wolnej Serbii. W jego ślady wstąpił Vuk Stefanowić Karadzić (1787—1864), który brał udział w kilku powstaniach, wskutek czego dwukrotnie musiał opuszczać kraj. Jak nasz Dołęga Chodakowski czy Oskar Kolberg — tak Karadzić zbierał pieśni ludowe, których pierwszą część wydał w r. 1814, a drugą w 1841; ogłosił także drukiem serbskie przysłowia w liczbie 4000 oraz zbiór powiastek, baśni i historycznych wspomnień; w r. 1818 wydał serbską gramatykę i serbskie tłumaczenie Nowego Testamentu.

Obok nich zasłynęli jeszcze wybitni poeci serbscy jak: Vidaković, Musicki i Sima Milutinowić, którego „Serbka" czyli zbiór pieśni bohaterskich, opiewających walkę o niepodległość, ukazała się w 1826 r.

Od r. 1837 wielu pisarzy usiłowało zbliżyć duchowo Chorwatów do Serbów. Ogniskiem tych dążeń był Zagrzeb, a gruntem, na którym zbliżenie miało nastąpić, stawała się poezja ludowa. Pieśń towarzyszy południowemu Słowianinowi przez całe życie. W pieśni zawiera Serb swą religię, moralne zasady i wspomnienia narodowe, ona mu zastępowała książki i dzieła sztuki. Liczne melodie serbskie, to samodzielny twór ludu. Wiele z nich zebrał i wydał w Zagrzebiu kroacki kompozytor Franciszek Knilać p. t. „Južnoslavianske narodowe popijewke".

Kolebką pieśni ludowych serbskich były góry, skąd rozpowszechniały się w nizinach, gdzie liczne piosenki i baśni o rozbójnikach, duchach i upiorach, sympatycznego doznały przyjęcia. Dopiero w początku XIX w. zwróciła ta poezja na siebie uwagę, po ukazaniu się zbiorów Vuka Stefanowića Karadzića, który przewyższył swoich poprzedników i licznych naśladowców dokładnością. Wiele miał on trudności do przezwyciężenia w zbieraniu pieśni ludowych. Żebracy, którzy je śpiewali, przygrywając na gęśli, wzbraniali się śpiewać w jego obecności pieśni „żeńskie", nazwane tak zapewne dlatego, że mężczyźni wstydzili się wyrażonych w nich miękkich uczuć, koślawiły je więc stare kobiety, a młode gniewnie twierdziły, że nie są ślepymi babami. Karadzić zachęcał dzieci do śpiewu i kobiety i powoli spisywał ich pieśni. Gdy bawił na dworze księcia Miłosza, starał się zwabić śpiewaków ludowych, najgłośniejszego z nich Milima sprowadzono gwałtem. Już całkiem zgrzybiały i posiekany szablami w swym rozbójniczym życiu, Milim śpiewał tylko wtedy, gdy uraczono go wódką, ale gdy raz tylko przerwano, nie dał się nakłonić do dalszego śpiewu. Ponieważ stenografii wówczas jeszcze nie znano, przeto kilka osób spisywało wiersze, porównywując je potem i uzupełniając.

Bohaterskie pieśni junackie przypominają często homerowe epopeje. Święci w serbskiej poezji ludowej i legendzie podobni są do bogów Hellady. Św. Jerzy i św. Michał, to półbogowie zabijający smoki; Bóg i św. Piotr to jakby Zeus i Hermes.

Poezja ludowa serbska długo kwitnęła wśród gór, podczas gdy gdzie indziej zaczęła obumierać.

Poezja bohaterska składa się z pięknych opisów najrozmaitszych zdarzeń. „Bitwa na Kosowym Polu", najpiękniejsza serbska epopeja, jest w prostocie swej wspaniała. Znamionuje ją głęboka miłość ojczyzny. Prawie wszystkie pieśni bohaterskie Serbów zawierają w sobie coś fantastyczno-okropnego, tragicznego, jak pieśń, której treścią założenie skuta. Występujących w bohaterskiej poezji hajduków otacza jakby aureola wielkości, ale nie są to zwykli rozbójnicy, lecz przywódcy walczących z Turkami powstańców.

Pierwsza miłość jest w poezji ludowej czarą pełną kwiatów, druga czarą pełną wina, a trzecia — trucizny. Hańbą jest dla dziewczęcia zostać starą panną. Serdecznymi są węzły rodzinne: siostra szczyci się bratem, którego nawet ponad męża stawia. Dzieci matkę czczą i kochają." I Bóg ima majku" (I Bóg ma matkę) mówi serbskie przysłowie. Śmierć matki, to wielkie nieszczęście.

Piękne pieśni ludowe serbskie stanowią główne bogactwo literatury jego kraju, warto byłoby je przełożyć na język polski, i spopularyzować, dałyby nam one możność poznania naszych pobratymców, gdyż w pieśniach tych mieści się całe życie Serbów; ich dążności, zamiłowania, wierzenia, historia narodu i jego cierpienia w długiej niewoli, bohaterskie zrywy i wreszcie niepodległość, ceniona ponad wszystko.

M. B.

KRONIKA KULTURALNA

NIEDAWNO odbyła się w Warszawie, staraniem Spółdz. Wyd. „Czytelnik", konferencja w sprawie literatury dla młodzieży przy współudziale autorów, krytyków, redaktorów pism dla młodzieży oraz bibliotekarzy. W dyskusji zabierali głos między innymi: Maria Dąbrowska, Julian Tuwim, Helena Boguszewska, Jan Dobraczyński. Interesujący referat o zamiłowaniach czytelniczych młodzieży wygłosiła (na podstawie szerokiej ankiety) p. Aniela Mikucka, kierowniczka Instytutu Badań Czytelnictwa Sp. Wyd. „Czytelnik". Oto odpowiedzi młodzieży na zapytanie: kto jest jej ulubionym autorem? „Trzy pierwsze miejsca zajmują kolejno: Sienkiewicz, Prus i Mickiewicz (jedynie jako autor Pana Tadeusza). W dalszym ciągu spotykamy nazwiska: Kraszewskiego, Żeromskiego, Orzeszkowej, Reymonta, Rodziewiczówny, Słowackiego, Makuszyńskiego, Kossak-Szczuckiej, May'a, Londona, Verne'a, Czarskiej. Książką najulubieńszą jest Trylogia i stoi na pierwszym miejscu... W pierwszej piętnastce spotykamy jeszcze: Quo Vadis, Krzyżaków, W pustyni i w puszczy, Pana Tadeusza, Starą baśń, Lalkę, Faraona, Placówkę, Dewajtis, Nad Niemnem, Ludzi bezdomnych". Zdaje się, że na podstawie tych odpowiedzi niepodobna mniemać, aby młodzież nasza była do gruntu zdemoralizowana, jak to się dziś często przypuszcza. Lubi ona dobrą powieść historyczną, społeczną, obyczajową i podróżniczą. Należy sądzić, że skoro „Czytelnik" zwołał tak ważną konferencję, weźmie on pod uwagę potrzeby młodzieży w swej dalszej działalności wydawniczej. Trzeba by tylko, oprócz starych wypróbowanych autorów pielęgnować i młode talenty, aby wyrastały na nowych Sienkiewiczów i Prusów.

●

CALUMNIARE audacter: semper aliquid haeret — powiada mądrość starożytna: spotwarzajcie, rzucajcie śmiało oszczerstwa: zawsze z nich coś przylgnie do najniewinniejszego nawet człowieka. Tej smutnej prawdy życiowej doświadczył na sobie Stanisław Wasylewski, oskarżony przez kilku literatów krakowskich o współpracę z okupantem niemieckim za czasów swego pobytu we Lwowie w latach 1941—1944. Obecnie, jak donoszą pisma („Rzeczypospolita" Nr. 351 i inne), świetny pisarz został przez krakowski Sąd Okręgowy uniewinniony od hańbiącego zarzutu: „w motywach wyroku stwierdzono, iż postępowanie karne przeciw Wasylewskiemu nie dostarczyło dowodów obciążających". Wydaje się, że uniewinnienie nie jest jeszcze dostateczną satysfakcją dla człowieka, ciężko dotychczas na czci Polaka i pisarza poszkodowanego. Należałoby napiętnować fałszywych oskarżycieli. Chyba, że im Wasylewski wspaniałomyślnie przebaczy. Jakkolwiek rzeczy się mają, spodziewamy się, że niezadługo ujrzymy nazwisko Wasylewskiego na łamach pism literackich.

●

„LISTY Z TEATRU", dwutygodnik redagowany w Krakowie przez Wojciecha Natansona, jest niezwykle żywym pismem teatralnym. Nie pomija żadnego przejawu z życia teatrów polskich i w sposób interesujący informuje o teatraliach zagranicznych, uwzględniając głównie Francję, Anglię i Związek Radziecki. W ostatnim jego numerze (Nr. 8), spośród innych artykułów, ciekawy jest „Powrót do antyku" Władysława Bodnickiego, omawiający obfitość sztuk polskich na tematy antyczne i mitologiczne, np. „Penelope" Morstina, „Odyssa u Feaków" Flukowskiego, „Achillesa i panny" Swinarskiego, „Orfeusza" Świrszczyńskiej, „Homera i Orchideję" Gaycego. Bodnicki podkreśla, że podobny objaw dostrzegamy i na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, gdzie szczególnym powodzeniem cieszą się takie sztuki jak „Antygona" Anouilha lub „Edyp" młodego autora — George Sonniera.

●

„GŁOS LUDU" (Nr. 353/741) podał fragmenty oryginalnego „nekrologu", jaki napisał o sobie samym — jeszcze przed laty dziesięciu — H. G. Wells, zmarły w roku ubiegłym. Oto najbardziej charakterystyczny ustęp „nekrologu": „Wells był płodnym i często powtarzającym się essayistą na ogólne tematy i jeszcze płodniejszym beletrystą. Pisywał powieści naukowe, których pomysłowość dawno przybladła ze względu na postęp we wszystkich dziedzinach wiedzy... Jeszcze kiedyś — mawiał — napiszę książkę, prawdziwą książkę... Mało zostało po nim dzisiaj, a przecież bez niego i jemu podobnych Koralowa rafa prostych idei, na których opiera się dzisiaj nasza cywilizacja, nigdy nie mogłaby powstać". Jak widzimy, nekrolog uderza skromnością, pokorą i biblijnym nastrojem „vanitas vanitatum". Ale do takiej mądrej wiedzy o sobie samym dochodzą ludzie tylko prawdziwie wielcy.

St. Łatka.

TEATR I KINO

W teatrach warszawskich

Dziewczyna w sieciach wampira

czyli „Już nigdy nie skłamię"

„Pan Lamberthier", czyli, jak chce polski tytuł, „Już nigdy nie skłamię", to sztuka J. Verneuil'a ,która idzie obecnie w teatrze „Jaskółka" w tłumaczeniu Ireny Krzywickiej. Sztuka ta była już grana w Warszawie przed wojną, ale jej wtedy nie widziałam.

Bulwarowy melodramat paryski ma za sobą doskonałą i dawną tradycję. Bo posłuchajcie tylko, co się tam dzieje. Jest sobie młoda dziewczyna, modniarka paryska, która uwikłała się w romans ze starym bogaczem, panem Lamberthier. Kiedy to już jakiś czas trwa, dziewczyna spotyka młodego malarza, w którym się ze wzajemnością zakochuje. Pobierają się. Ale pan Lamberthier nie chce puścić swojej ofiary. Wykorzystując jej dawne i coraz nowe długi, które pozaciągała, żeby się nareszcie usamodzielnić i otworzyć własną pracownię — ciąży na życiu dwojga młodych, wysysa z nich szczęście i radość życia, doprowadza do ruiny.

Żermena kłamie. Zaplątana w coraz większe trudności finansowe, oszukuje swojego podejrzliwego, a mimo to łatwowiernego męża.

W noc poślubną dzwoni w pokoju młodej pary telefon: to straszliwy wampir daje znać o sobie. Nadchodzi ranek, godzina dziesiąta: znowu dzwoni telefon. I wtedy młody małżonek...

Ale tego już moim czytelnikom nie opowiem. Niech pójdą i sami zobaczą, bo warto. Sztuczka jest żywa, doskonale napisana, wpływ „wampira", który rządzi życiem tych dwojga małych mieszczuchów przez telefon, przez gazety, przez listy — po mistrzowsku uwydatniony i pokazany, słowem, bardzo to przyjemny wieczór.

Tym przyjemniejszy, że Janina Piaskowska gra z wielką prawdą, prostotą mniej tak wyglądać, jakby i on w swoich strojach korzystał z pomocy „wampira"; wcale to w intencjach autora nie leżało; przeciwnie, „szlachetny" malarz może i powinien być trochę zaniedbany.

Dekoracja bardzo smaczna, salka również.

A swoją drogą dziwna to rzecz taki paryski melodramat, wszystko tam jest:



Janina Piaskowska artystka teatru „Jaskółka".

i łezka, i uśmiech, i ludzie nieomal że prawdziwi, i pornografii szczęśliwie uniknięto przy śliskim temacie, i „morał na wierzchu, jakby gwiazda świeci". Gotowam nawet przypuszczać, że niektóre Żermeny zastanowią się, słuchając, czy istotnie nie lepiej się opłaci — przestać kłamać, nie budować sobie istnienia na fałszu i oszustwie? Inna sprawa, że gdzie tam u nas te Żermeny? Milionerów Ormowcy demaskują w autach, wampirom co innego w głowie, niż pracowite dziewczęta, a i modniarce warszawskiej daleko... do małżonki Agi-Khana, który się co roku waży w koronacyjnym stroju na złotej i perłowej wadze. Gdzie nam do tych wspaniałości!

Ale nie strzelajmy z wielkiego działa. Sztuczka jest wprawdzie egzotyczna, ale ciekawa i dobrze napisana. Teatr też trzeba pochwalić: dobiera repertuar inteligentnie i starannie. Taki przedtem „Grzegorz Dandin" — to też było doskonałe posunięcie.

i wdziękiem, i, co jak wiadomo, nigdy niczemu nie przeszkadza, bardzo ładnie wygląda. Widziałam w zeszłym roku tę inteligentną aktorkę bodaj że w Katowicach w „Sułkowskim", i z tamtej roli również wywiązała się bardzo dobrze.

Jaksztas — ulubiony warszawski artysta estradowy — ma dobre momenty. Wyznanie w drugim akcie, wypowiedziane z prostotą i bez afektacji, wypada zupełnie interesująco — ale na ogół powinien więcej opanować mimikę i głębiej przemyśleć rolę. Choćby powierzchownie wziąwszy: można jeszcze zrozumieć, że Żermena, młoda, paryska modniarka, potrafi się ubrać. Ale jej mąż nie powinien bynaj-



Piaskowska i Jaksztas w sztuce Verneuila „Już nigdy nie skłamię".

Wanda Melcer

Od Administracji

Przypominamy, że stosownie do ogłoszenia w Nr. 20-tym z dn. 24.XI. 1946 r. należność za prenumeratę miesięczną wynosi od dnia 1 stycznia 1947 r. zł. 40.—

NARESZCIE

„ZAKAZANE PIOSENKI"

Z produkcją filmową jest tak, jak z miłością: najtrudniejszy podobno jest początek. Obie strony muszą się przyzwyczaić, przystosować do wzajemnych wad, słabostek i upodobań.

Przede wszystkim jednak — trzeba się poznać. I oto nadeszła wielka chwila: publiczność polska zawarła nareszcie znajomość z naszą rodzimą produkcją filmową, podjętą już „na serio" — to znaczy w dziedzinie filmu długometrażowego. Teraz rozwiązać należy zagadkę: czy ,my" — widzowie i „oni" — Film Polski zrozumieliśmy się i czy przypadliśmy sobie do gustu.

Pierwszy film produkcji polskiej pt. „Zakazane piosenki" daje nam na to pytanie odpowiedź. Wywołuje on wzruszenie — i to jest największą jego zaletą. Wzruszenie to ogarnia widzów w miarę, jak z ekranu wraz z zakazaną piosenką płyną ku nam wspomnienia, w których zawarta jest cząstka dziejów okupacyjnych każdego z nas, a zwłaszcza — każdego, kto okres wojny spędził w Warszawie. Przewija się przed nami barwny reportaż życia tamtych dni — łapanki, rewizje, konspiracja, partyzantka, powstanie — i łącząca wszystkie te sceny w jedną całość — piosenka, zachęcająca do przetrwania, kpiąca z okupanta, zagrzewająca do walki, śpiewana przez dzieci na ulicy, w tramwaju, w pociągu.

Niektóre sceny są doskonałe — raz pełne warszawskiej werwy i humoru — gdy pod okiem Niemców dzieci warszawskiej ulicy drwią sobie z całej grozy okupacji — innym znów razem pełne napięcia i tragizmu, jak np. świetnie wyreżyserowany moment wykrycia przez granatowego policjanta ukrywającego się Żyda, który zdradził mimo woli swą kryjówkę pod wpływem wzruszenia ogarniającego go na dźwięk śpiewanej na podwórku piosenki.

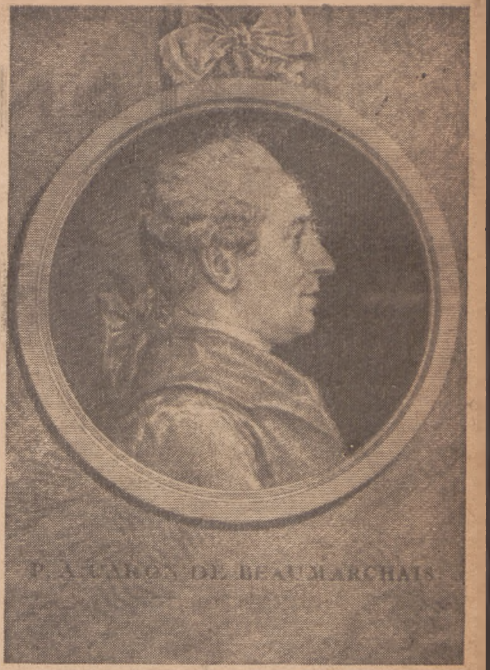
Co można by zarzucić twórcom filmu, iż niezbyt mocno podkreślili całą brutalność i grozę niemieckich okupantów — ci Niemcy z filmu wcale nie są tacy groźni — raczej naiwni i głupi, dający się ustawicznie wyprowadzać w pole. Druga trochę słaba strona — to być może jednostronność podejścia do walk konspiracyjnych. Akcja odgrywa się w środowisku raczej mieszczańskim — zbyt mało pokazano walki i ruchu oporu, która obejmowała przecież całe bez wyjątku społeczeństwo polskie.

Wykonawcy wywiązali się dobrze ze swego zadania. Danuta Szaflarska jako debiutantka rokuje dobre nadzieje. Tak samo Jerzy Duszyński. Najlepszy jednak bez wątpienia jest Kurnakowicz w roli bojaźliwego muzyka, który w decydującym momencie nie waha się przed wzięciem udziału w powstaniu.

W każdym razie — jakichkolwiek niedociągnięć nie podnoszonoby, — najważniejsze jest, że się zaczęło, że pierwszy film który się ukazał, jest bliski, zrozumiały dla publiczności, odpowiada jej gustom i będzie na pewno miał powodzenie.

Czekamy więc, pełni nadziei na ciąg dalszy.

El - Za



PORTRETY SŁAWNYCH LUDZI

opracował Bolesław Busiakiewicz

Piotr Augustyn Caron de Beaumarchais

z okazji 215-ej rocznicy urodzin — 24 I. 1732 roku

Piotr - Augustyn Caron urodził się w Paryżu jako syn zegarmistrza, sam też do 22 roku życia zegarmistrz, porzuciwszy zawód rzemieślnika przybrał sobie nazwisko Beaumarchais i zdołał dotrzeć na dwór królewski. A że prócz tego posiadał wrodzone talenty: ślicznie śpiewał, grał na harfie, flecie i gitarze, sam będąc miłym, dowcipnym, i przystojnym — nie dziwmy się że... żył wygodnie i wesoło... Nawet znalazł dostęp do otoczenia króla Ludwika XV i jego córek. Protekcjami zdobył sobie stanowisko „Królewskiego Sekretatarza". Rozpoczął operacje finansowe najczęściej z wynikiem ujemnym, przez co popadł w długi i w liczne procesy. Na procesach bronił się sam — adwokatom nie ufając. Przegrywał — aż do wyroku więzienia włącznie... Wpadł na oryginalny pomysł pisania własnej obrony w wydawanych przez siebie „Memoriałach". W owych „Memoriałach" Beaumarchais odkrył niejako sam siebie, t.zn. talent pamflecisty. Błyskotliwością dowcipu, ironią, sarkazmem i satyrą oczarował i porwał publiczność do tego stopnia, że nakład „Memoriałów" doszedł do dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Opinia ogółu była po stronie Beaumarchais. Beaumarchais w swoich „Memoriałach" walcząc niby o swoje sprawy, de facto walczył o prawa ogółu. Twierdził, że w obliczu prawa wszyscy są równi tak wielcy jak i mali tego świata. Czując w sobie dar tworzenia piórem napisał dwie tragedie: „Eugenia" i „Dwaj przyjaciele" ale nie zwróciły one na autora większej uwagi, — Dopiero w 1775 r. po wielkich trudnościach i przygotowaniach wystawia swego „Cyrulika Sewilskiego" Dalszym etapem i zarazem szczytem osiągnięć Beaumarchais była komedia „Wesele Figara". Powiedziano dowcipnie, a nie bez słuszności, że autor „Wesela Figara" musiał wykazać więcej talentu do wystawienia swej komedii, aniżeli do jej napisania. Istotnie trzy lata perypetii — wędrówek rękopisu od cenzora do teatru i z powrotem zakończyły się 27 kwietnia 1784 r premierą tego arcydzieła, którego pełny tytuł brzmi: „Szalony drań czyli Wesele Figara". W Polsce Bogusławski już w 2 lata później wystawił tę komedię. Figaro to sam Beaumarchais, a monolog Figara to porachunki autora ze społeczeństwem. Była to rękawica rzucona społeczeństwu, jego obyczajom i etyce publicznej. Ale przede wszystkim obrona demokracji jako takiej. Tym sposobem „Wesele Figara" torowało drogę hasłom poprzedzającym wybuch Wielkiej Rewolucji. Król Ludwik XVI wtrącił Beaumarchais do więzienia, lecz arystokracja wymogła na królu jego natychmiastowe wypuszczenie na wolność. Sam autor „Wesela Figara" w rewolucji czynnego udziału nie brał. Stojącego na uboczu wydarzeń politycznych posądzono o zdradę stanu — i sprzyjanie wrogom republiki, co stało się przyczyną ucieczki Beaumarchais z Francji. Kilka lat tułał się po Anglii aż w r. 1794 „zrehabilitowany" wrócił do Paryża. Ostatnie 5 lat życia po powrocie do kraju przeżył w osamotnieniu i biedzie. Ten, który był przedmiotem zachwytu i podziwu całego Paryża — w tym samym Paryżu — umierał w zapomnieniu

Cukierki i czekoladki łódzkie

Wizyta w fabryce ongiś „Palermo" dziś „Społem"

Związek Gospodarczy R. P. „Społem" jest dziś bezwątpienia najpotężniejszą instytucją gospodarczą Odrodzonej Polski. Obok działalności handlowych, które zaopatrują w artykuły najpierwszej potrzeby najszersze warstwy polskiego społeczeństwa w całej dosłownie Polsce, „Społem" prowadzi szereg zakładów wytwórczych, o których działalności przeciętny człowiek na ogół niewiele słyszał.

Redakcja „Tygodnia" postanowiła zapoznać swoich Czytelników z pracą tych zakładów i ich znaczeniem dla całokształtu naszej gospodarki w Polsce powojennej.

Pierwszą naszą wizytę poświęciliśmy **Fabryce Cukrów i Czekolady „Społem"** (dawniej „Palermo") w Łodzi, ul marszałka Stalina Nr. 49.

Fabryka uruchomiona została już w lutym 1945 roku i prowadzi następujące działy produkcji: karmelkarski, czekoladziarski i wypiek ciastek, zatrudniając w chwili obecnej 100 pracowników. Początkowo fabryka wykazywała niezbyt wielkie obroty, które przeciętnie wynosiły około złotych 1.500.000 miesięcznie.

Zaledwie trzy miesiące temu fabryka ruszyła żywszym tempem, osiągając już dziś miesięczne obroty w kwocie ponad 5.000.000 złotych. Udało się to osiągnąć przez usprawnienie produkcji i wprowadzenie szeregu nowych asortymentów, które tak jak karmelki „Luksusowe" spotkały się na rynku z nieprzeciętnie dużym powodzeniem.

Placówka pod nowym kierownictwem nabrała więc rozmachu, który cechować niewątpliwie będzie i dalszą jej działalność.

Dyrektor fabryki p. Józef Mikaszewski-Dytberner jest znanym działaczem społecznym i doskonałym fachowcem, co daje gwarancję, że fabryka zajmie należną jej pozycję w naszym przemyśle spożywczym. (a).

Kącik filatelistyczny



FRANCJA — Z okazji kongresu UNESCO w Paryżu, wydany został znaczek wartości 10 fr w kolorze niebieskim.



NIEMCY — Między 8 a 15 grudnia br. w gmachu zbrojowni na Unter den Linden w Berlinie odbyła się wielka wystawa filatelistyczna obficie obesłana przez niemieckich zbieraczy i kupców. Także, przez jeden tylko dzień co prawda, wystawione były rzadkości berlińskiego Reichspostmuseum, a między nimi legendarny „niebieski Mauritius" pilnie strzeżony przez Schupo. Dziwnie przedstawiał się materiał, dopuszczony na wystawę. Wystawiać można było tylko zbiory Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji i Związku Radzieckiego oraz Łotwy (?) no i oczywiście Niemiec z poddziałami: Gdańsk (!), Saara, kolonie i poczty miejskie. W planie tym przejawa się pruski szowinizm, a z drugiej strony tak typowe płaszczenie się przed zwycięzcami.

Z okazji wystawy wypuszczono specjalny bloczek o nakładzie 50.000 egz. ząbkowanych i 50.000 egz. nieząbkowanych. Za okazaniem biletu wstępu można było nabyć tylko jeden bloczek. Na ramce bloczka w kolorze lilabrunatnym znajdujemy u góry cenę (5 mk), a u dołu napis: „Für Flüchtlings — und Altershilfe". Bloczek składa się z trzech znaczków: 20 f (jasno-niebieski), 40 f (karminowolila) i 24 f (żółto-brunatny).

(wo).

Reprodukowanych znaczków dostarczyło Biuro Filatelistyczne (Łódź, Piotrkowska 47).

Od i do Redakcji

P. L. Z. w Warszawie. Wiersza pt. „Jesień" nie wydrukujemy. Za słaby dla nas.

P. Zofia K. w Krakowie. Nie zamieścimy. Są poważne usterki formy poetyckiej.

P. Sławomir w Poznaniu. Próbka za drobna i zbyt nikła w treści, by na jej podstawie sądzić o zdolnościach autora.

P. St. Cz. w Krakowie. Ma Pan rację i dla „Tygodnia" to za słabe.

P. Jan Tok. w Kaliszu. Są rymy, rytm i sens, ale poezji w tym nie ma.

P. Erazm Grójnacki w Warszawie. Po przeniesieniu się „Tygodnia" do Warszawy prosimy o porozumienie się z nami.

P. Stańczuk Jan w Siedlcach. W skorowidzu nazwisk do książki Melchiora Wańkowicza pt. „Bitwa o Monte Cassino" figuruje mjr. Stańczyk, dowódca 16 batalionu dywizji kresowej (brak imienia i bliższych szczegółów odnośnie miejsca pochodzenia itp.) oraz Stańczyk — pancerniak z dywizji Karpackiej (bliższych danych brak). Nie ma również wzmianki żadnej czy zginęli. Sądząc jednak z sumienności opracowania książki i podawania szeregu nazwisk z podaniem daty i miejsca śmierci — obaj wyżej wymienieni nie zginęli pod Monte Cassino. W spisie uczestników bitwy żaden Stańczuk nie figuruje.

P. Aleksander Maliszewski w Warszawie. Prosimy o próbki. Nie znając treści formy trudno wyrokować.

P. P. Taran — Irena. Pozostawioną do naszej dyspozycji nagrodę za „sklerozę" przeznaczamy na odbudowę stolicy.

P. Henryk Nowak w Radomsku. Uwagi Pana są najzupełniej słuszne i zastosujemy się do życzeń czytelników. Trzynastka nie zawiedzie.

P. Maria Rettig w Krotoszynie i P. Tolek Wojnarowicz Brwinowie. Brakujące numery wysyłamy pocztą.

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

Przegląd mody paryskiej

Co się nosi w Paryżu? Jest to pytanie, które zawsze niepokoiło nasze piękne panie przed wojną. Obecnie — cóż... Trudno jest dostosować się do paryskich kreacji, lecz ciekawość żyje i zawsze w kobiecej duszy żyć będzie.

Więc posłuchajmy paryskich ploteczek, a być może i u nas w domu z naszych starych sukienek, z przydziałowych materiałów przy odrobinie smaku i sprytu, potrafimy wykroić kreacje, choć trochę w stylu zbliżone do tego, co „nosi teraz zagranica".

Moda się zmieniła. Lekka, dziewczęca sylwetka ustępuje miejsca kobiecie, która musi umieć nosić nowe kreacje. Trzeba umieć być kobietą i lekko się poruszać w wąskich sukniach, uszytych z ciężkich wspaniałych materiałów. Nowa linia jest owalna, lub prosta. Szerokość sukni musi być umiejętnie zatuszowana. Szerokie spódnice z tiulu są noszone tylko do tańca; na wieczór suknie mają długość do łydki lub nawet do kostki. Wieczorem wąskie spódnice są często rozcięte celem swobodnego poruszania się.

Rękawy są przeważnie szyte krojem kimono i dlatego plecy są spadziste. Płytkie zakładeczki lub gorseciki zaznaczają zlekka podniesione talie. W ogóle wszystko się podkreśla: i biust i biodra i... resztę...

Ciasno oblegająca suknia raczej „rozbiera" kobietę!

Rano lub przy sporcie noszone są komplety z trzech części o prostej linii. Kostiumy popołudniowe są wcięte z futrzanymi kołnierzami sięgającymi do talii.



Suknie natomiast są wąskie o prostej linii i z gładkim stanikiem, zapiętym na wiele guzików.

Gdy idziemy na wieczorek połączony z tańcami, mamy duży wybór sukienek: krótkich i mocno dekoltowanych z dopasowanym bolerkiem — dół sukni nieregularny. Poza tym — prawdziwie wieczorowe suknie z bogatego, ciężkiego materiału. Kolory — przeważnie nikłe i niezdecydowane.

Suknie i bolerka ozdabiamy często motywami z „pajetek" lub pereł. Nosi się dużo biżuterii — prawdziwej i ... przeważnie sztucznej. Z biżuterii modne są małe „obroże" — na szyję.

Bardzo modne są futra i kapelusze, olbrzymie kołnierze i mufki. Wieczorem — suknie bywają często również bramowane futrem. Tak moda kusi kobietę w Paryżu. Niestety, u nas choćbyśmy bardzo chciały, trudno byłoby ulec tej pokusie. Dlatego wybieramy modele, na które łatwiej możemy sobie pozwolić.

Oto one:

1) Suknia z szarej wełny, połączona z jedwabiem w szeroką kratę.
2) Suknia — kostium. Prosta, gładka spódnica, marynarka z kieszonkami i zaszewkami.

CO I JAK GOTOWAĆ?

Marmolada z bani

W okresie zimowym przyjemnie jest mieć w domu marmoladę ze świeżych owoców. Niestety jabłka są zbyt drogie — po prostu szkoda pieniędzy na tak kosztowną marmoladę. Wobec tego kupujemy banię, której cena jest stosunkowo niewielka, kroimy ją w drobną kostkę, przepuszczamy przez maszynkę do mięsa i gotujemy w odrobinie wody, póki cała masa nie zgęstnieje. Następnie słodzimy masę do smaku, dodajemy trochę kwasku, owocowego aromatu i — marmolada jest gotowa.

Na przekąskę...

Na przekąskę albo do herbaty możemy przygotować z konserw rybnych „Społem" bardzo smaczne kanapki. Cienko kroimy długą bułkę, lub chleb, przysmażamy na maśle, aż się zarumieni. Wyjmujemy rybę z puszki i rozgniatamy widelcem na masę. Tę masę nakładamy grubo na grzanki. Gotowe!

Podwieczorek

W czasie karnawału z pewnością przyjdą do nas przyjaciele i znajomi na jakiś mały wieczorek, lub po prostu z wizytą. Gospodyni domu wiele zyska w ich oczach, jeżeli poczęstuje swych gości smacznym jajecznym koniakiem. Oto przepis:

30 dkg cukru (pudru), $^3/_4$ szklanki wody i 5 żółtek ubijamy na parze na gęsty krem. Do ostudzonej masy dolewamy $^1/_4$ litra spirytusu, mieszamy dokładnie i zlewamy do flaszki. Zakorkowaną flaszkę przechowywać należy w ciemnym miejscu kilka tygodni przed użyciem.

Do koniaku możemy podać dobre i niedrogie kruche ciasteczka. 5 dkg cukru, trochę soli, 10 dkg masła, 15 dkg mąki — rozkruszamy w misce, dodajemy łyżkę kwaśnej śmietany i rozgniatamy ciasto. Wykładamy na deskę, wałkujemy dość cienko, następnie foremką wykrawamy półksiężyce, smarujemy białkiem, posypujemy grubym cukrem i pieczemy na kolor złocisty.

Anegdoty historyczne



KOMPLEMENT

Johann Brahms (1833—1897), znakomity twórca sonat, rapsodyj i warjacyj na tematy ludowych melodyj węgierskich, zaproszony był pewnego razu do znajomych na obiad. Nalewając kompozytorowi kieliszek wina, gospodarz domu, chcąc i jemu zrobić komplement, i swoje wino pochwalić, rzekł:

— Mistrzu, proszę skosztować: to Brahms moich win.

Brahms wypił.

— Wyborne! — powiedział i podstawiając na nowo kieliszek, dodał z uśmiechem:

— A teraz czy mógłbym pana prosić z kolei o kieliszek Beethovena?

TRZECI KONKURS „TYGODNIA"

NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W dzisiejszym numerze ogłaszamy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników powiększamy dział rozrywek umysłowych i wprowadzamy nagrody książkowe.



Jako nagrody Redakcja przeznacza:

30 nagród książkowych
20 nagród prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu Konkursu do dnia 1 kwietnia b.r. do Redakcji „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.



Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI
KŁOPOTY Z WYBORAMI

Moja kochana!

Stale jakieś się ma kłopoty. Teraz znów z tymi wyborami. Uważam, że nawet powinnam głosować, bo tyle jestem winna Polsce, żeby jej służyć swoim głosem doradczym przy ustalaniu tego Sejmu, czy jak to się nazywa, w każdym razie dobrze będzie, jeżeli zabiorę głos w tych sprawach. Przede wszystkim nie podoba mi się cała organizacja tych wyborów. Bo do czego to podobne, żeby głosować na jakieś tam ponumerowane partie! Powiedzmy, że już nawet zapamiętam, jaki która partia ma numer. Chociaż jest ich aż cztery, więc napewno mi się pomyli. Ale pomijając numery, cóż to jest partia? Na przykład zdecyduję się głosować na taką a taką partię. A czy ja wiem, jak ci z tej właśnie partii wyglądają, czy się dobrze ubierają, czy są z przyzwoitego towarzystwa? Inna znów partia wcale mi się nie podoba, bo nikt ze znajomych nie będzie na nią głosował ,a tymczasem Wacek Kowalski, który mi odpowiada politycznie, bo ma bardzo ładne oczy, jest kandydatem tej właśnie partii. Więc jak z tego wybrnąć? Mnie osobiście bardzo odpowiada sposób głosowania sprzed wojny. Nalepiali na murach piękne fotosy różnych kandydatów



Sami starsi, z wąsami i do tego poubierani . . .

i można było zastanowić się uczciwie i wybrać, jak sumienie każe. Wcale nie trzeba było orientować się w tej nudnej polityce, która nikogo nie obchodzi. To było naprawdę demokratyczne załatwienie sprawy, bo każdy rzeczywiście mógł głosować bez względu na to, czy się orientował w polityce, czy nie. A teraz jeśli się chce głosować, to trzeba przeczytać te nudy w gazetach, a kto ma na to czas w karnawale?

I w ogóle, jak głosować, jeśli się nie wie zasadniczych rzeczy: mam wybrać kogoś, wszystko jedno, łysego, piegowatego, czy ze sztucznym zębem, byleby był w tej a nie innej partii. Już wtedy może być posłem i może się potem powoływać, że to ja go wybrałam.

O, przed wojną, to rozumiem. Jak te fotosy nalepiali, to nikt mnie już nie mógł oszukać, bo od razu bym poznała, czy to na tego głosowałam. Gorzej tylko było, że dla każdej dzielnicy był inny wybór fotosów. Pamiętam, że najbardziej spodobał mi się taki kandydat wysportowany z gołą piersią. Bardzo efektowny mężczyzna. Kiedy zobaczyłam tego kandydata rozebranego na fotografii, od razu poczułam, że moje sympatie polityczne są zupełnie zdecydowane. A tu masz: okazało się, że ten kandydat amant z gołą szyją jest ważny tylko na Poznańskiej, więc ja z Filtrowej zupełnie nie miałam do niego prawa! Obejrzałam sobie moich kandydatów z Filtrowej i aż mi się przykro zrobiło: sami starsi z wąsami i do tego poubierani. Więc przeprowadziłam się do cioci na Poznańską i głosowałam na nieubranego. Taka sportowa koszula z dekoltem cuda robi, jeśli chodzi o przewroty w zapatrywaniach politycznych. O, to rozumiem! To były wybory!

A co teraz? W końcu trzeba będzie na coś głosować, ale na co? Już kilka razy zmieniałam decyzję, bo to bardzo trudna sprawa. Radziłam się Kocia Mentlikowskiego. do którego mam wielkie zaufanie. Kocio powiedział, żebym głosowała w każdym razie na opozycję, wszystko jedno, co ona sobą przedstawia. Bo im więcej ludzi będzie w opozycji, tym większy będzie w kraju bałagan, a to jedyny ratunek, bo jak w kraju zapanuje spokój i porządek, to bardzo trudno interesy robić. Niech mają głowy zajęte niepokojem i przeciwnikami politycznymi, to nie będą mieli czasu na żadne Komisje Specjalne, na walkę z paskiem i w ogóle na prześladowanie tych rzeczy, z których się żyje.

Tak mi Kocio wytłumaczył i sama przyznasz, że słusznie. O, Kocio powinien być posłem! Chociaż czy ja wiem, czy być posłem to szykownie? Wolałabym, żeby Kocio został ministrem, albo prezydentem. On pięknie nosi frak. I jakie interesy z zagranicą moglibyśmy wtedy robić!

Tak więc widzisz, moja droga, że zajęłam się intensywnie polityką. Mam nadzieję, że nasza biedna ojczyzna dobrze na tym wyjdzie.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Twoja Alicja.

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

STRASZNY DWÓR

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał K. W. Zawodziński, profesor Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, za nadesłanie wycinków z artykułu Ksawerego Pruszyńskiego p. t. „Podróż po Polsce" („Odrodzenie" Nr. 51—52). Omawiając historię jakiegoś bliżej nieokreślonego dworu polskiego, Pruszyński pisze:

Pamiętam ten dwór z lat przed wojną i widziałem go teraz... Zjawił się gdzieś na końcu osiemnastego czy na początku dziewiętnastego stulecia; stawiał go poseł na Sejm Czteroletni... Fundamenty poczęto kopać wtedy, gdy dojrzewał wybuch insurekcji kościuszkowskiej... Pod dach wyciągnięto dom w okresie Grodzieńskiego Sejmu. Data zeszła się niemal co do dnia z dniem imienin carycy, w którym abdykował ostatni Rex et Magnus Dux.

Niezwykły porządek robót! — stwierdza prof. Zawodziński: dwór zjawia się niewiadomo kiedy: na końcu XVIII czy na początku XIX wieku; fundamenty jego zakłada się w momencie insurekcji kościuszkowskiej, a więc na wiosnę r. 1794; dach otrzymuje w okresie Sejmu Grodzieńskiego czyli latem r. 1793; wykończony zostaje (tenże dach) w dniu abdykacji Stanisława Augusta, a więc dn. 25 listopada r. 1795.

W tymże artykule Pruszyński pisze o „iluminowaniu inkunabułów" po klasztorach średniowiecznych. Iluminowaniem nazywa historia sztuki ręczne kolorowanie rękopisów i pergaminów — w epoce gdy nie znano druku. Inkunabuły — to są pierwodruki, najdawniejsze zachowane do dziś starodruki sprzed r. 1500; jest ich podobno we wszystkich bibliotekach świata około 30 tysięcy. Jakież to spustoszenia kulturalne poczyniła wojna w głowach nawet wybitnych publicystów, nawet przebywających przez cały jej ciąg w tak cywilizowanych krajach, jak Francja, Anglia i Stany Zjednoczone.

MŁODZIEŻ JEST MORALNA

Uczniom kl. I. licealnej w Przasnyszu nie spodobała się „skleroza" z Nr 20 „Tygodnia" o „Kocyndrze", zakończona cytatem z Puszkina: „Biegnę w zaciszny kącik i tam Chwostowa szorstką odą, chociaż się męczę ale trę". Oto ich zdanie:

Krytyka „Kocyndra" wyrażona jest w formie nie tyle dowcipnej, ile niesmacznej. Ale to nie znaczy, że można zachwycać się utworami Puszkina o głębokiej treści na równi z takimi jak ten. Jak wiemy Puszkin o wybitnym talencie literackim wiele pozostawił po sobie żartów o niedwuznacznej treści. I naszym zdaniem jest o wiele przyjemniej zapoznawać się z nimi w gronie przyjaciół przy szarej godzinie, a nie drogą prasową.

Dziękując w imieniu Puszkina za przyznanie mu „wybitnego talentu", oświadczamy co następuje:

1) Cieszymy się, że młodzież licealna w Przasnyszu zna żarty Puszkina o niedwuznacznej treści. Ale to nie znaczy, żebyśmy się zachwycali jej znajomością języka polskiego: w krótkim liściku naliczyliśmy pięć byków gramatycznych, syntaktycznych, stylistycznych i logicznych.

2) Zgadzamy się, że najprzyjemniej jest zapoznawać się z niedwuznacznikami przy (!) szarej godzinie, ale w jaki sposób mogliśmy cytowany niedwuznacznik Puszkina podać do wiadomości gronu przyjaciół, jeśli nie drogą prasową?

Silva Rerum

ANGLICY



— Nie wie pan, jaki jest Anglik. Jednego dnia przystępny, łatwy w obejściu, drugiego gotów rzucić się na pana jak tygrys. Wymagający rano, niedbały po południu, zawsze pełen dziwactw, tylko w bitwie zasługuje na zaufanie, czy walczy po pańskiej czy nieprzyjacielskiej stronie. Czasami zdaje się mieć źle w głowie, ale zawiódłby się, kto uważałby i to za regułę.

Zresztą, jeżeli tak można się wyrazić... nawet najstarszy wśród nich wróbel da się wziąć na plewy, choć nie codzień.

— Czy nie dziwiliby się swemu szczęściu. Lecz nie nazwaliby tego wypadkiem. O nie! Nazwaliby zrządzeniem Opatrzności. Na tyle znam Anglików. Lubią mieć Boga po swej stronie, jest On bowiem jedynym sojusznikiem, któremu nie trzeba płacić, ani dawać subsydiów.

I tu Peyrol stanął wobec zagadnienia, na które w ciągu całego życia nie znalazł odpowiedzi. — Czy Anglicy są naprawdę głupi, czy też szczególnie przemyślni...

Jeżeli można Anglików oszukać — rozumował — to nie słowami, lecz czynem, nie wykrętami, lecz chytrą rachubą, zamaskowaną pewnego rodzaju niedwuznacznym działaniem

(Conrad — „Korsarz").

Okaż im (Anglikom), jakie mieć będą korzyści, wchodząc w waszą sprawę, a co do praw to jest rzecz kancelarii, aby je wynaleźć. Trzebaby, aby ona była bardzo niezgrabna, aby ich nie wynaleźć, kiedy ich potrzeba.

(Talleyrand do Wielopolskiego w Londynie 1831 r.).

C'EST ÉGAL!

Ciekawą historię podaje w swoich pamiętnikach o 1812 r. Roman Sołtyk.

Wkrótce po przybyciu do Wilna, wezwał Napoleon do siebie słynnego matematyka i rektora uniwersytetu prof. Śniadeckiego. Wysłany do Śniadeckiego zastał go Sołtyk „już we fraku akademickim, przygotowanego iść na czele całego grona profesorów", lecz, gdy mu Sołtyk oznajmił, że Napoleon wzywa tylko jego jako rektora, chciał się przebrać po galowemu, tj. „w krótkich spodniach, długich pończochach i trzewikach". Sołtyk zwrócił uwagę, że to przebranie zajmie sporo czasu, a Napoleon nie lubi czekać. Śniadecki się upierał, Sołtyk nalegał i powiedział z przyzwyczajenia po francusku: „C'est égal! cesarz nie przywiązuje najmniejszej wagi do szczegółów ubrania, w jakim mu się kto przedstawia; idźmy nie tracąc czasu".

Dał się wreszcie Śniadecki nakłonić i wybrał się do Napoleona w butach, a nie w trzewikach, ale trzeba było iść piechotą, bo właśnie Napoleon wjeżdżał do miasta i żaden powóz nie przedarłby się przez tłumy napełniające ulice.

Wtem Śniadecki spojrzał na swoje zabłocone buty i wykrzyknął: „Ależ ja tak zaszargany iść nie mogę do cesarza". „C'est égal" — rzekł adiutant z uśmiechem. Śniadecki jeszcze się zżymał ,ale Sołtyk żartując z jego etykietalnych skrupułów, pociągnął go gwałtem na schody. We drzwiach sali poczekalnej spotkali króla neapolitańskiego Murata. Sołtyk przedstawił mu Śniadeckiego informując, że słynny matematyk jest wezwany przez cesarza. Śniadecki znów zaczął się wypraszać od prezentacji w takim zabłoconym stroju, ale Murat rzekł: „C'est égal, entrez toujours" i rektor uniwersytetu, zawsze schludny, musiał się przedstawić Napoleonowi — zachlapany błotem. Posłuchanie u Napoleona pozostawiło miłe wrażenie w umyśle wileńskiego mędrca, lecz nigdy nie mógł zapomnieć tego wyrażenia: „C'est égal", z którym go wszyscy napędzali przed oblicze cesarza. Toteż przy najbliższej okazji zapytał Sołtyka: „Panowie wojskowi bardzo się jak widzę, we wszystkim śpieszycie. Czyż i wasz cesarz tak zwykł się śpieszyć?".

„Tak, odpowiedział Sołtyk — i tym zwycięża, że nieprzyjaciela zawsze ubiega".

Mędrzec wileński zamyślił się i po chwili rzekł:

„Dobrze jest śpieszyć się, tylko można się raz wywrócić i... kark złamać".

Muzeum Zoologiczne w Warszawie

Prace konserwatorskie



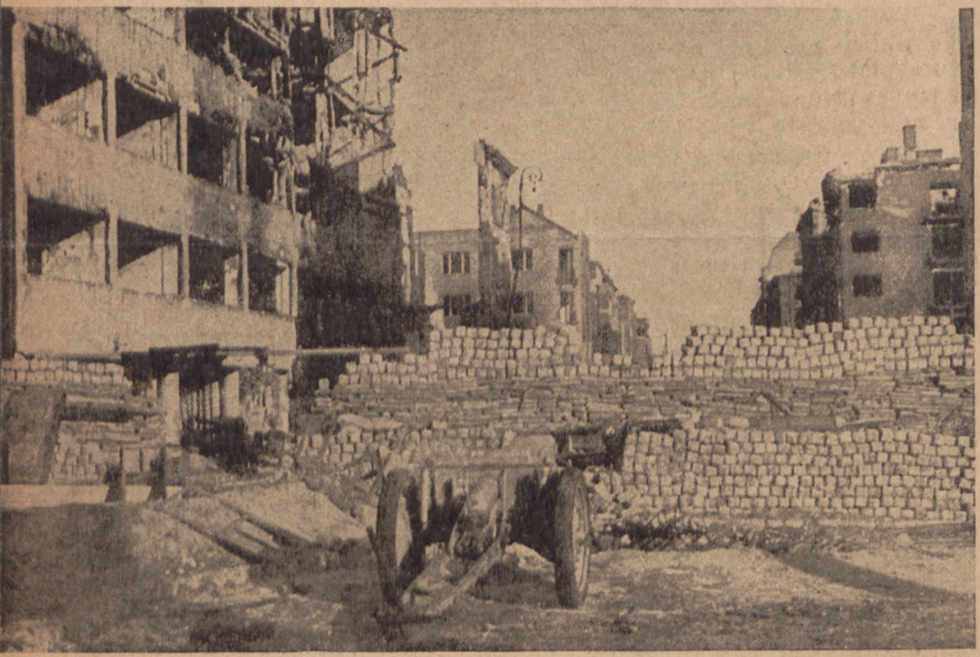
WARSZAWA PRZED DWOMA LATY



Wojsko Polskie wkracza do stolicy.



Na cokole kolumny Zygmunta powiewa polska flaga.



Resztki powstań czych barykad.



Z powrotem do domu.



Poszukiwa nie min.

(Film Polski)



Miasto czeka na tych, którzy je odbudują.

(Film Polski)

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 40.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty—50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 012405